Sternik
dwutygodnik dla młodych
Warszawa

ROK II Nr. 6 25 MARCA 1930 R. CENA 50 GROSZY.

NIEMA MŁODZIEŻY w LITERATURZE!

WYWIAD Z WACŁAWEM SIEROSZEWSKIM

— Proszę — zwrócił się do mnie Sieroszewski — skoro już ma być wywiad, więc niech pan pyta. Co pana interesuje?

— Czy nie uważa pan — zacząłem nieśmiało — że literatura polska zbyt mało zajmuje się młodzieżą?

— Mało? — odpowiedział energicznie Sieroszewski — Niema młodzieży w literaturze!

— No tak, oczywiście, niema — powtórzyłem stropiony.

— Bo proszę tylko posłuchać. Dawniej Prus, Sienkiewicz, Orzeszkowa pisali o młodzieży. W każdym niemal utworze przeciwstawiali sobie stare i młode pokolenie. A dziś. Dziś niema niema młodzieży w literaturze. Chyba przecież o „Hilarym" (Hilary syn buchaltera J. Iwaszkiewicza) nie będziemy mówić, jako o typie spółczesnego młodzieńca. Proszę jednak nie winić o to tylko literatury, tu i młodzież winna. Niech mi pan powie, jak można dziś rozpatrywać młodzież jako zbiorowość, oczywiście poza ugrupowaniami partyjnemi? Czem się dziś młodzież zajmuje? Jakie ma cele? O co walczy? Nie można przecież interesować się osobistemi sprawami każdej pojedyńczej jednostki, lub poszczególnych grupek cudzoziemską modą zrzeszonych w korporacjach. Literatura, to nie mikroskop służący do drobiazgowych spostrzeżeń. Co innego dawniej, gdy młodzież występowała jednolicie, gdy mundur studencki był rękojmią godności, honoru, przynależności do stronnictwa wytrwałej walki o niezależność myśli, o niepodległość i godność narodu. Niech się pan przyjrzy uważnie studentom Prusa, Sienkiewicza, czy Gamastona. Walczą oni nieustannie, jeśli nie o państwo, to o społeczeństwo. Zwalczają, gnuśność, sobkostwo, ospałość. A co najważniejsze, to cechuje ich wielkie poszanowanie własnego munduru i koleżeńskość. Któż dziś zwraca uwagę na te rzeczy. Jak często spotykamy się z tem, że student głosem swoim pokrywa nadużycia partyjnych prowodyrów, że nawet całe grupy młodzieży potrafią brać udział w antypaństwowych manifestacjach! Cóż dopiero mówić o koleżeńskości. Zresztą nie może się ona rozwijać skoro młodzież nie ma wspólnych celów, ani umiłowań. Opowiadano mi kiedyś, jak na którymś z zagranicznych uniwersytetów, nie pamiętam, w Heidelbergu, czy w Lipsku, wybuch spór naukowy. Cała młodzież podzieliła się wtedy na dwa obozy: kinetyków i energetyków. Była również na uniwersytetach ówczesnych zajadła walka pomiędzy materjalizmem a idealizmem, początek swój wzięła ona z umiłowania wiedzy i prawdy. Jednak studenci— to jeszcze nie cała młodzież, istnieje przecież młodzież wiejska i robotnicza — o tej ostatniej pisze p. Kaden - Bandrowski w „Czarnych Skrzydłach", jednak co powie o młodzieży inteligenckiej zobaczymy, gdy wyjdzie trzecia cześć tej trylogji. Myślę jednak, że nie powie nic pocieszającego.

— Za pańskich czasów było łatwiej — próbowałem bronić młodzież — wtedy był wyraźny cel walka o wolność.

— Tak, my wychowaliśmy się w innej atmosferze. Najlepszy obraz tego dać mogą te trzy poematy, które umiałem na pamięć nietylko ja i powtarzaliśmy je sobie bardzo często. Były to: „Oda do młodości", „Reduta Ordona" i „Do Matki Polski" — Mickiewicza. Dzisiejsza młodzież twier-

dzi, że po odzyskaniu Ojczyzny niema już o co walczyć. Że brak jej wielkich celów w życiu. A czy nie przychodzi jej na myśl, że Polska, jak niegdyś była przedmurzem chrześcijaństwa, tak dziś jest filarem utrzymającym równowagę i pokój całej Europy? Dwóch potężnych sąsiadów, Niemcy i Rosja, pragnie rozciągnąć swe panowanie nad Europą i właśnie Polska ma za zadanie nie dopuścić do tego. To jest nasze hamletowskie ,,być, albo nie być" — a młodzież, czy tego nie widzi? Do niej przecież należy stworzenie mocarstwowej potęgi państwa polskiego, któreby śmiało mogło stawić czoło obu grożącym najazdom. Lecz, niestety, gdziekolwiek jest mowa o rzeczach poważnych, tam nie spotyka się młodzieży. Niema młodzieży przy sprawach pierwszorzędnej wagi — i dlatego właśnie niema jej w literaturze, bo taka, jaka jest, nie dostarcza artystom odpowiednich tematów.



Wacław Sieroszewski

Tu Sieroszewski umilkł.

— Słucham — zapytał po chwili — o co pan chce jeszcze zapytać?

— Którą z pośród swoich książek uważa pan za najbardziej programową dla młodzieży? — pytałem dalej.

— Dla młodzieży ,,Twardowskiego" — bo co do mnie, to bardzo lubię poza tą książką ze swych utworów jeszcze ,,Beniowskiego", ,,Ocean", przesiąknięte dążeniem do wolności i ,,Na kresach lasów" — moje pierwociny literackie, pisane na dalekiej północy.

— Powieść o Twardowskim — przerwałem — jest, zdaje się, oparta na własnych przeżyciach pana?

— Tak — odparł Sieroszewski. — Więc wracając do ,,Twardowskiego" polecałbym go dla młodzieży, bo są tam zatarte **dzieje duszy szukającej prawdy.** Średniowiecze szukało jej w sylogizmie, renesans w badaniu. Proszę zwrócić uwagę, że z tygla alchemika i lunety astrologa narodził się nowy człowiek — człowiek renesansu. Takim właśnie człowiekiem był Twardowski, on szukał prawdy. Wielu ludzi zagubiło się w tem poszukiwaniu; wielu też zginęło, jak Giordano Bruno. Jednak nie żałowali, bo wiedzieli, że wielkie sprawy wymagają wielkich ofiar. Tak samo my, którzyśmy walczyli o Ojczyznę, nagrodzeni jesteśmy dostatecznie, bo widzimy ją wolną, bo zaspokoiły się nasze tęsknoty, lecz wnet się budzą nowe, wciąż dalej i dalej sięgające... — Sieroszewski zatrzymał się na chwilę i dodał:

— Tęsknota, to poezja życia!

— Znaczy się za najlepszą drogę w literaturze i w życiu uważa pan szukanie prawdy?

— Nie za najlepszą, ale za jedyną! Prawdy i Sprawiedliwości — dla ludzi i dla ludzkości! Tylko w ten sposób można osiągnąć cel, a także często i szczęście osobiste.

— Co pan sądzi o nowej literaturze polskiej?

— Nowa literatura? Cóż, usiłowania. Szukanie nowych dróg, aby odmalować nowe życie, ale to wszystko... początek. Jeszcze się mocują z formą, bo treść bogata już po brzegi wypełnia życie. Jesteśmy w okresie poezji lirycznej, powieść przyjdzie później. Co zaś do powieści to tam od dawna nietylko w polskiej literaturze, ale w literaturze światowej płyną równoległe dwa kierunki równe sobie, równie wspaniałe zależnie od talentu: jeden osiąga wrażenie przez opisywanie przedewszystkiem stanów duszy bohaterów, nawet krajobrazy przedstawia w odbiciu w tych duszach; drugi — maluje tło, akcję i każe domyślać się ze słów i czynów opisywanych osób ich wewnętrznych przeżyć. Tu i owdzie tylko słaby retusz analityczny objaśnia stany duszy. Pierwszym z tych sposobów posługiwał się przeważnie Żeromski, drugim Reymont. No, ale zbyt odbiegliśmy od tematu... Wracajmy do młodzieży. Według mego zdania ona sama winna, że nie znalazła się na odpowiedniem miejscu w literaturze. Mam wrażenie, że atmosfera wolności odurzyła ją, że tej najmłodszej nie tyle chodzi o zasady i problematy, ile o to aby wykrzyczeć, wyszumieć... Trudno jednak stale powtarzać Sienkiewiczowskie lub Gamastonowskie kawały... Artysta musi mieć jakiś powód głębszy do zainteresowania się typem, czy zdarzeniem...

— Więc dobrze, powtórzę młodzieży pana surowe słowa. Nię będę jej oszczędzał.

— O, nie! Nie robię jej zbyt ciężkich zarzutów. Lubię młodość i młodzież... Żyłem z nią i w legjonach, i dawniej...

Spojrzałem mimowoli na wiszący na ścianie portret Sieroszewskiego w szarym mundurze i wysokiem czaku ułańskiem.

— Czy nie dosyć? Co?! — spytał z uśmiechem nasz rozmówca.—Bo, widzi pan, wyjeżdżam do Paryża i w związku z tem mam moc roboty!

Wstaliśmy i zaczęli się żegnać. Udobruchany widocznie końcem wywiadu gospodarz już we drzwiach prosił mnie, abym znów zbytnio nie napadał na młodzież nawet tą... błądzącą, gdyż zmienią się czasy, zmieni się i ona. Mnie tymczasem wciąż stał w oczach ten portret ułana.

— Mój Boże! — myślałem sobie — Pewno tam nie jeden Beliniak zazdrościł tych wąsów Sieroszewskiemu, bo przecież dużo tam było właśnie tych... najmłodszych.

Michał Ochorowicz.

JAN KAROL CHODKIEWICZ

„Jesteście płód marsowy i krew nieodrodna tych walecznych sarmatów, którzy od Dniepru do Elby rozszerzywszy granice bili na tych rzekach żelazne słupy, wiekuiste znamiona swej sławy...".

Z mowy hetmana do wojska pod Chocimem.

Wśród wielkich wodzów polskich XVII w. poczesne miejsce zajmuje hetman wielki litewski Jan Karol Chodkiewicz. Czyny jego wypełniają panowanie króla Zygmunta III; niema ważniejszej wojny, w której Chodkiewicz nie brałby udziału, czy to, gdy chodzi o sprawy szwedzkie, moskiewskie, czy tureckie.

Urodzony w r. 1560 na Litwie pobierał Chodkiewicz naukę w akademji wileńskiej. Tutaj witał w imieniu młodzieży, idącego na wojnę z Moskwą, Batorego, który mu przepowiadał wielką przyszłość. Następnie udał się za granicę; Kształcił się w uniwersytecie jezuickim w Ingolsztadcie, bawił potem przez krótki czas w Padwie i w Wenecji.

Wróciwszy do kraju przebywał na dworze Zygmunta III, potem w posiadłościach swych litewskich, gdzie zaprawiał się do rzemiosła wojennego, rysując plany bitew i robiąc próbne manewry z chłopami, urządzając w dobrach swoich sztuczne bitwy i obłężenia. Praktycznie zdobywał doświadczenie bojowe pod kierunkiem Stanisława Żółkiewskiego, biorąc udział w jego wyprawach wojennych na kozaków Nalewajki, następnie w wojnie wołoskiej, prowadzonej wytrawną ręką Jana Zamojskiego.

Mianowany hetmanem polnym litewskim, zdobywał wawrzyny w wojnie szwedzkiej, walcząc pod komendą Krzysztofa Radziwiłła w Inflantach pod Kokenhausen i Rygą. Zgromadzili się tu najdzielniejsi wodzowie polscy: Zamojski i Żółkiewski dowodzili wojskami koronnemi, a Chodkiewicz litewskiemi, bowiem Radziwiłł, nie mogąc się z nim pogodzić, wyjechał na Litwę. W końcu w Inflantach został tylko Chodkiewicz, bo Zamojski nie mógł już znieść trudów kampanji. Chodkiewicz ściągnął z Litwy poczty swych przyjaciół, opłacił wojsko zaciężne z własnej kieszeni i przystąpił do obłężenia Dorpatu, który wkrótce musiał się poddać. Następnie, łamiąc niezliczone trudności, w dniu 27 września 1605 r. stoczył ze Szwedami zwycięską bitwę pod Kircholmem. Mając niespełna cztery tysiące wojska przeciw 14 tysiącom Szwedów, postanowił Chodkiewicz roztrzygnąć bitwę nagłym atakiem husarji. Udaną ucieczką sprowadził Szwedów na dogodną dla kawalerji równinę. Wtedy porucznik Wincenty Wojna z 300 husarzami uderzył w środek sił nieprzyjacielskich i rozbił muszkietników, zaś Dąbrowa i Sapieha złamali obydwa skrzydła szwedzkie. Szwedzi rzucili się do ucieczki, 9000 rozbitków legło na polu walki, a król szwedzki Karol zbiegł na okręcie do Szwecji.

Skutki zwycięstwa kircholmskiego były bardzo dla wojny doniosłe, gdyż prawie całe Inflanty zostały odzyskane. Tak wielkiego zwycięstwa winszowali Chodkiewiczowi papież Paweł V, cesarz Rudolf II, król angielski Jakób, a sułtan turecki kazał portret jego zawiesić w swoim pałacu. Wojna w Inflantach uczyniła Chodkiewicza jednym z najsławniejszych wodzów nietylko w Polsce, ale i w Europie. Cóż, kiedy szczęśliwie jej doprowadzić do końca nie mógł, gdyż na wojsko brakło środków, a sam Chodkiewicz po zawarciu rozejmu musiał wyjechać do Polski, aby bronić króla od zbuntowanego możnowładztwa i szlachty.

Polityka Zygmunta III doprowadziła szlachtę do rokoszu. Zarzucano królowi, że jednoczy się z Habsburgami, gdyż po śmierci pierwszej żony Anny, ożenił się z jej siostrą Konstancją Habsburżanką, jednocząc się coraz ściślej z cesarzem, że dąży do ukoronowania swego syna Władysława jeszcze za swego życia, że chce ograniczyć władzę sejmów i podnieść władzę królewską. Na czele niezadowolonych stanął wojewoda krakowski Mikołaj Zebrzydowski, który urażony na króla za to, że ten kazał mu się wynosić z kamienicy na Wawelu, przeznaczonej na przyjmowanie gości zagranicznych, miał oświadczyć: „Wynoszę się z domu, ale ręczę, że król wyniesie się z królestwa". Do Zebrzydowskiego dołączył się Janusz Radziwiłł,, obrażony, że król nie dał mu starostwa dudeńskiego" i biskup krakowski Maciejewski, skłócony z królem o zewnętrzne oznaki, jakiemi otaczał się, sprawując chwilowo godność legata papieskiego. „Baldachim, pałac i starostwo dudeńskie... rokoszu przyczyną były", krążyła gadka wśród ślachty. Hasłem które pobudziło ogół szlachecki do buntu była wieść o małżeństwie króla z arc. Konstancją. Po licznych zjazdach i agitacjach na sejmikach i sejmie około 50.000 zbrojnej szlachty zebrało się pod Sandomierzem i zawiązało konfederację, której marszałkiem obwołany został Janusz Radziwiłł, a hetmanem Mikołaj Zebrzydowski.

Król znalazł się w bardzo trudnem położeniu, gdyż rokoszanie myśleli nawet o detronizacji. Wtedy ocaliła go wierność hetmanów Żółkiewskiego i Chodkiewicza, którzy stanąwszy przy królu, w imię praworządności wystąpili przeciw zbuntowanym. Chodkiewicz, zebrawszy z wielkim trudem 1600 jazdy, zostawił w Inflantach po zawarciu rozejmu Andrzeja Zborowskiego, w dniu 1 czerwca 1607 r. zjawił się w Warszawie i wraz z Żółkiewskim, kiedy nie można było zażegnać bratobójczej walki, stał się doradcą wojennym króla. Walka była nadzwyczaj trudna, gdyż wojska królewskie topniały wskutek dezercji do rokoszan, jednak obecność dwu największych wodzów i ich przytomność umysłu sprowadziła zwycięstwo królewskie w bitwie pod Guzowem, w dniu 6-go lipca 1607 r. Chodkiewicz walczył tutaj na prawem skrzydle przeciw Januszowi Radziwiłłowi. Miał bardzo trudne zadanie do spełnienia, gdyż część jego jazdy, niewiadomo, czy przez strach, czy też przez zdradę uszła z pola. Po zwycięstwie guzowskiem Chodkiewicz ścigał buntowniczego Radziwiłła, który nie czując się pewnym w Koronie, udał się na Litwę i tam zawiązał konfederację przeciw królowi. Radziwiłł, chcąc unieszkodliwić swego przeciwnika, rozpuszczał pogłoski, że Chodkiewicz czyha na jego życie i, że prowadzi konszachty ze Szwedami. Hetman zdemaskował przewrotność Radziwiłła w obszernym liście, ale kiedy ten ukorzył się przed królem i wyciągnął pozornie rękę do zgody, Chodkiewicz nie robił mu trudności w pogodzeniu się, przekładał bowiem interes państwowy nad sprawy prywatne.

Ledwie skończył się rokosz Zebrzydowskiego, Chodkiewicz nie zaznawszy spokoju, udał się do Inflant, gdyż skończył rozejm, zawarty ze Szwedami i ci poczynili nowe zdobycze. Bez zasiłków i pieniędzy, pozostawiony samemu sobie, otrzymawszy jedynie pomoc od magnatów litewskich, w lutym 1609 r. w trzaskające mrozy zdobywał Pernawę, którą opanował po dwóch nocnych szturmach, dając przykład osobistej odwagi, gdyż, zsiadłszy z konia z dobytą szablą poprowadził wojsko na mury. Ze zwyciężonymi obszedł się bardzo łagodnie, biorąc tylko starszyznę i 20 knechtów w niewolę, pozostałych zaś puszczając na wolność lub przyjmując do swej służby. Następnie stworzył małą flotyllę z 2 okrętów, wziętych z Pernawy i kupionych od Anglików i Holendrów statków kupieckich i rozbił flotę szwedzką, chwytając przepływające okręty obce pod Szalcem. Potem uwolnił Rygę od obłężenia generała Mansfelda. W dalszym ciągu działania wojene były zawieszone. Rok 1610 spędził Chodkiewicz na Litwie, dopiero 24 lutego 1611 roku zjechał do Rygi dla zawarcia rozejmu ze Szwedami.

Zygmunt III potrzebował wielkiego hetmana na innem polu. Od r. 1609 toczyła się wojna moskiewska, w której oręż polski dzięki Żółkiewskiemu wielkie święcił triumfy. Wojsko polskie stanęło załogą na Kremlu, carem moskiewskim miał zostać syn Zygmunta III, Władysław. Jednak opieszałość Zygmunta i dążenie do zagarnięcia samemu korony moskiewskiej wywołały powstanie ludności moskiew-

skiej a Polacy znaleźli się w Moskwie w trudnem bardzo położeniu, gdyż zostali oblężeni przez wojska nieprzyjacielskie. W tym momencie chciał Zygmunt III pchnąć do Moskwy Chodkiewicza dla poratowania sytuacji.

Chodkiewicz zachowywał się wobec wojny moskiewskiej bardzo wstrzemięźliwie. Nawet ganił królowi cały pomysł i przedsięwzięcie i wzbraniał się brać jakikolwiekbądź czynny udział w walce. Siwowłosy hetman nie ufał królowi, który w gronie swych doradców miał jego najzawziętszych wrogów. Potoccy, zazdrośni jego sławy wojennej, kanclerz litewski Lew Sapieha, który nazywał hetmana Belzebubem, pomawiali go o związki przyjaźni z wrogim królowi Januszem Radziwiłłem, aby umniejszyć jego wpływ na Litwie i zniechęcić wobec niego króla. Ten jednak nie mógł się obejść bez pomocy Chodkiewicza, to też postanowił ująć go swoją serdecznością a zarazem wybadać, jakie względem niego żywi zamiary. W tym celu zaraz po zdobyciu Smoleńska wyjechał do Orszy i jadąc w dalszym ciągu końmi spotkał Chodkiewicza. Wziął go do swojej karety i rozmawiając serdecznie zawiózł do Tołoczyna, posiadłości Lwa Sapiehy. Tam podczas uczty, kiedy Chodkiewicz od nadmiaru wina, wpadł w dobry humor i szczerość, dowiedział się król o jego wierności dla korony i rozwiał swe wątpliwości co do stosunków z Januszem Radziwiłłem. Domyślił się potem hetman, że pijatyka była przygotowana umyślnie a w liście do żony pisał: ,,wymaca tedy (król) we mnie, żem niefutrowany sługa jego i dziwnie był kontent, że mię takiego widział".

Na prośbę króla wyruszył hetman na odsiecz oblężonej załodze polskiej w Moskwie. Mając zaledwie 2000 żołnierzy nie może znieść licznej armji oblężniczej. Sam musi walczyć z własnem skonfederowanem żołnierstwem, które buntuje się nie otrzymując żołdu. Cały rok zmaga się żelazny hetman z przeważającym wrogiem i przeciwnościami losu, aż wreszcie Kreml, ogłodzony i wycieńczony poddaje się. Polacy zjadłszy psy, koty, myszy i szczury, opuszczają zamek, mordowani przez kozaków moskiewskich. Przez upór i nieopatrzność Zygmunta III zostało zmarnowane dzieło Żółkiewskiego i praca poprzednich pokoleń unja z Moskwą, na tronie carów zamiast polskiego królewicza Władysława, zasiadł nienawistny, wyniesiony w r. 1613 przez naród moskiewski Michał Fiedorowicz Romanow, założyciel dynastji, która w przyszłości zaciąży nad losami Polski. Zamiast unji pomiędzy obydwoma narodami stanie widmo wojny.

Zygmunt III chciał wtedy prowadzić rokowania pokojowe z Moskwą. Nie dały one żadnych rezultatów wobec słabości wojennej Polaków, Chodkiewicz zmuszony był jedynie bronić niedawno zdobytego Smoleńska i wschodnich rubieży od band rozbestwionego moskiewskiego żołdactwa. Nie mógł nawet w oznaczonym czasie wyjechać na pogrzeb zmarłego ukochanego syna Hieronima, jedynego, spadkobiercy jego wojennej sławy.

Dopiero w kwietniu 1617 r. wyruszył z Warszawy królewicz Władysław na zdobywanie tronu carów. Chodkiewicz miał mu towarzyszyć w pochodzie ku Moskwie. Wraz z Władysławem szedł nienawistny hetmanowi i niekarny Marcin Kazanowski, który nie chciał słuchać jego rozkazów, tak, że w pewnym momencie Chodkiewicz, zmuszony był rzucać za nim po obozie buławą, aby przywrócić go do posłuszeństwa.

Wyprawa jednak przychodziła za późno. Za słabe miał również siły Chodkiewicz, aby zdobywać Moskwę, to też w dn. 11 grudnia 1618 r. zawarte zostało pomiędzy wojującemi stronami zawieszenie broni na 14 lat. Po owych trudach zdawało się, że stary hetman będzie mógł spokojnie ostatnie lata życia spędzić. Jeszcze w r. 1613 pisał on do króla:

,,Służyło się dosyć pracowicie Waszej Królewskiej Mości i Rzeczypospolitej od pierwszego młodości mej kwiecia: ostatek wieku radbym poświęcił sobie. Już też z południa ku wieczorowi skazuje mi kompas: długo mię pole, długo zbroja trzymała, czas przy kominie wytchnąć".

Nie spoczął jednak sędziwy wódz, ale do r. 1618 pełnił twardą służbę żołnierską w ciągłych utarczkach w wojnie z Moskwą. Nie spocznie też po trudach kampanji moskiewskiej, gdyż wyciągnie go z pieleszy domowych niebezpieczeństwo tureckie.

W r. 1620 padł pod Cecorą w obronie granic Rzeczypospolitej sędziwy hetman Stanisław Żółkiewski. Niebezpieczeństwo tureckie wzrosło, sułtan Osman gotował olbrzymią wyprawę, prowadząc na Polskę 160.000 wojsk własnych z 60.000 Tatarów i 62 działami. Polacy wraz z kozakami mogli przeciwstawić tej potędze od 65.000 do 75.000. Ale wojsko to miało wodza tej miary co Chodkiewicz. Sejm w dn. 5 grudnia 1620 r. jednogłośnie powierzył mu dowództwo nad wojskami, ufając jego doświadczeniu i męstwu. Stary hetman nie zawiódł pokładanych w nim nadziei. Przekroczył już lat 60, sterany był długoletnią żołnierką, ale pałał duchem zwycięstwa.

Kiedy Polacy w oczekiwaniu grozy tureckiej rozłożyli się pod Chocimem i kiedy przed nimi zabielały namioty tureckie ,,jakby niespodziewany śnieg spadł", Chodkiewicz objeżdżał swoje szeregi i z pogodną twarzą drwił z nieprzyjaciela, przypominając rycerstwu mężne czyny przodków. Na radzie wojennej domagał się natychmiastowego stoczenia walnej bitwy, ale jego podkomendni obrali sposób walki obronej. To też Polacy zostali wystawieni na liczne szturmy przeważających sił tureckich, które zawsze odpierane były zwycięsko. Tymczasem słabły siły hetmana. Złożony śmiertelną niemocą zawezwał do siebie rycerstwo i wymógł na niem przedśmiertną obietnicę, że z pola walki nie ustąpią. 24 września zamknął spokojnie powieki. Ale wojna chocimska trwała dalej i zakończyła się według obietnicy, jaką dało mu rycerstwo na łożu śmierci. Zawarto z Turkami honorowy traktat 9 października 1621 r. Polacy dopiero po trzech dniach po odejściu Turków ruszyli się z miejsca, w obozie polskim była tylko jeszcze jedna beczka prochu.

Śmierć Chodkiewicza na polu walki w obliczu wroga stała się przykładem i wzorem dobrze spełnionego obowiązku. Była ona testamentem dla przyszłych pokoleń, że Polskę uratować może tylko ofiarna i bezinteresowna praca jej synów.

Zwłoki wielkiego hetmana przewieziono z zamku chocimskiego do Kamieńca i następnie złożono na wieczysty spoczynek w Ostrogu.

Dr. F. Skibiński

Wobec nadsyłanych próśb redakcja postanowiła przedłużyć do 15 kwietnia

KONKURS

na Najlepszego Przyjaciela „Sternika"

KTO DO DN. 15 KWIETNIA POZYSKA NAJWIĘKSZĄ LICZBĘ PRENUMERATORÓW (NIE MNIEJ NIŻ 6-ciu) OTRZYMA W NAGRODĘ JEDNĄ Z PODANYCH NIŻEJ KSIĄŻEK:

BARTKIEWICZ Z. — POLITYKA W LESIE.
BERENT WACŁAW — ŻYWE KAMIENIE.
KADEN-BANDROWSKI J.—MIASTO MOJEJ MATKI.
REYMONT WŁ. ST. — ROK 1794.
SIEROSZEWSKI W. — TWARDOWSKI.
STRUG A. — ODZNAKA ZA WIERNĄ SŁUŻBĘ.
WEYSSENHOFF J. — SOBÓL I PANNA.
WIERZYŃSKI K. — LAUR OLIMPIJSKI.
ZEGADŁOWICZ E. GODZINA PRZED JUTRZNIĄ.
ŻEROMSKI S. — WIATR OD MORZA.

O WYBORZE ZAWODU

Świadectwo dojrzałości stawia każdą jednostkę wobec jednego z najważniejszych w jej życiu pytań: „co dalej?". Codzienna praca szkolna pozwala odsuwać w przyszłości odpowiedź na to pytanie, zadawalać się nieokreślonością mglistych marzeń i rojeń, w których mniej lub więcej silnie występuje właściwe wiekowi młodzieńczemu pragnienie czynów wyrosłych ponad miarę przeciętną. Rozstanie się ze szkołą jest jednak momentem, w którym bliższe skonkretyzowanie tych marzeń staje się sprawą konieczną. Wszyscy ludzie własnemi siłami zdobywać sobie muszą środki do życia. Czynić to mogą w sposób wieloraki, każdy jednak z tych sposobów wymaga kilkuletniego przygotowania, które normalnie rozpoczynać należy wkrótce po ukończeniu szkoły ogólno - kształcącej. Okres zatem, bezpośrednio następujący po ukończeniu szkoły, jest w życiu człowieka szczególnie godny uwagi, ponieważ w tym okresie musi on powziąć decyzję, która zaważy na całej jego przyszłości. Decyzja ta wymaga głębokiego namysłu i realnego spojrzenia na siebie oraz na zadania i istotę przyszłego zawodu.

Rozejrzmy się trochę bliżej w obu tych zagadnieniach.

Każdy człowiek przedstawia pewną zorganizowaną całość psycho-fizjologiczną. Czy spojrzymy na całość tę od strony organizmu, czy od strony psychiki, zarówno w jednym jak i w drugim wypadku wśród składników, budzących tę całość, znajdziemy takie, które zmienić się w sensie rozwoju nie dają, oraz takie, które podlegać mogą doskonaleniu. A więc np. czynnikiem, nie ulegającym rozwojowi jest wzrost człowieka dorosłego, ostrość jego wzroku, słuchu i t. p., czynnikiem, w pewnej mierze podlegającym ćwiczeniu jest np. układ mięśniowy. Wśród składników, budujących psychikę ludzką, znacznie trudniej jest jeszcze wyodrębnić czynniki stałe od rozwojowych, a w odniesieniu do tych ostatnich przewidzieć jakąś granicę ich rozwoju. Niepewność wszelkiej prognozy podkreślają tu jeszcze czerpane z dziejów przykłady ludzi, którzy zdołali doprowadzić do znacznego rozwoju uzdolnienia, znajdujące się w nich początkowo niżej normy. Przykłady te skłaniają niektóre współczesne teorje psychologiczne do głoszenia tezy „każdy człowiek jest do wszystkiego zdolny". Teorje te jednak zapominają o tem, iż omawiane rezultaty mogli osiągnąć tylko ci ludzie, którzy byli obdarzeni żelazną wolą i wytrwałością, pełni niegasnącego zapału, zdolni do wyrzekania się wielu cennych stron życia w miarę upragnionego celu. Nikt zaś nie wątpi, iż te właściwości są udziałem nielicznych tylko jednostek. A przytem jedno jeszcze. Doświadczenie codzienne poucza nas, iż największy zapał i nieugięta wola często nie wystarczają do osiągnięcia celu, o ile ten wychodzi poza faktyczne możliwości jednostki. Nierzadko też spotykamy ludzi, którzy osiągnęli nawet względne powodzenie na obranej przez siebie drodze, mimo to jednak wyniki ich pracy zdają się być niewspółmierne z włożonym w nie wysiłkiem, który znacznie produktywniej mógł był być, może wykorzystany w innej dziedzinie wytwórczości ludzkiej. A jakże często, dodać należy, do wyboru tej właśnie nieodpowiedniej dla danej jednostki drogi przyczyniły się: naśladownictwo, nadmiernie rozwinięta ambicja, źle pojęta rywalizacja z rówieśnikami, a później wstyd przyznania się do popełnionej omyłki, przyznania równoznacznego w oczach wieku ze stwierdzeniem własnej nieudolności do życia.

Te i inne refleksje skłaniają nas do twierdzenia, iż kwestja uzdolnień powinna odgrywać pierwszorzędną rolę przy wyborze zawodu. Już na początku zastrzegliśmy się, iż poznawanie składników psychiki ludzkiej jest sprawą zawikłaną i trudną. Temniemniej jedna z gałęzi psychologji stosowanej .t zw. psychotechnika problem badania uzdolnień posuwa stale naprzód. Niezależnie jednak od badań psychotechnicznych, każdy człowiek może do pewnego stopnia zdać sobie sprawę, jeśli nie z nasilenia posiadanych przez siebie uzdolnień, to przynajmniej z ich wzajemnego ustosunkowania. Okres wyboru zawodu powinien być poświęcony głębszemu zastanowieniu się nad tą sprawą. Winien on być niejako retrospektywnem spojrzeniem na siebie samego i na dotychczas osiągane rezultaty. Uzasadnienia przekonań, dotyczących wzajemnego ustosunkowania posiadanych dyspozycyj intelektualnych, szukać można w wynikach swej pracy. Nie jest to uzasadnienie jedyne, ale jedno z ważniejszych. Niepowodzenia, częściej spotykane w pewnych dziedzinach pracy szkolnej lub początkowej sygnalizują zazwyczaj niebezpieczeństwo, obrania zawodów, które wiążą się ściślej z temi dziedzinami. Przeważnie z posiadaniem, względnie z brakiem pewnych uzdolnień idzie w parze posiadanie, względnie brak odpowiednich zamiłowań i zainteresowań. Nie jest to jednak przyporządkowanie ścisłe. To, co ludzie nazywają swemi zamiłowaniami często nie wypływa z istotnych i głębszych skłonności ich psychiki, ale jest wytworem czynników ubocznych jak i naśladownictwo, moda i t. p. Zainteresowania tego rodzaju gasną szybko, szczególnie, jeśli obrany na ich podstawie zawód nie jest dopasowany do właściwości fizycznych lub psychicznych pracownika. Wówczas praca staje się ciężkim obowiązkiem, jest mało wydajna i nie może dać człowiekowi najmniejszego zadowolenia wewnętrznego. Ażeby przeto uniknąć bolesnych rozczarowań w przyszłości należy w okresie, poprzedzającym kształcenie zawodowe, zdać sobie, o ile możności, sprawę z motywów, skłaniających do wyboru danego zawodu.

Uświadomienie sobie własnych zdolności i zamiłowań nie wystarcza jeszcze do poznania siebie samego jako przyszłej siły roboczej. Każdy zawód, a zwłaszcza t. zw. zawody wyższe wymagają od dobrego pracownika nietylko uzdolnień intelektualnych. Należyte wykonywanie ich zależy od współdziałania wszystkich niemal stron psychiki ludzkiej. Właściwości usposobienia i charakteru pracownika odgrywają, szczególnie w niektórych zawodach, rolę pierwszorzędną. Człowiek mało współczesny, nie mający dostatecznie rozwiniętego poczucia odpowiedzialności, nieobowiązkowy, niecierpliwy i nieopanowany nie może być np. dobrym nauczycielem lub lekarzem, chociażby nawet posiadał odpowiednie uzdolnienia. Poznanie własnego charakteru i usposobienia powinno zatem również stanowić jedno z zadań w okresie, poprzedzającym wybór zawodu. Wśród młodzieży zdarzają się nieraz jednostki, pozbawione ściśle określonych zamiłowań. Często są to jednostki ogólnie zdolne, które, zważywszy samo ich obdarzenie umysłowe, mogłyby pracować w różnych dziedzinach. Wybór zawodu dokonywa się u nich przeważnie z punktu widzenia korzyści materjalnych. Czynnika ekonomicznego bezwarunkowo lekceważyć nie należy, nie powinien on jednak stanowić motywu wyłącznego, prowadzić bowiem może do wyboru zawodu całkowicie niedopasowanego do właściwości emocjonalnych i wolicjonalnych osobnika.

Dotychczasowe uwagi nasze wskazują na to, iż okres wyboru zawodu wymaga głębokiego i wszechstronnego wniknięcia we własną psychikę. Tę trudną, zwłaszcza dla niektórych typów umysłowości, pracę analityczną ułatwić mogą w znacznym stopniu rozmowy z rodzicami, z wychowawcami szkolnymi, z przyjaciółmi, wreszcie z fachowo przygotowanymi psychologami, pracującymi w poradniach zawodowych i pracowniach psychotechnicznych. Rozmowy te jednak, aby były celowe, muszą być prowadzone bez fałszywego wstydu i szczerze, tak jak się już przywykło, w imię własnego dobra, rozmawiać, zasięgając porady u lekarza. Zastanowienie się nad samym sobą nie wyczerpuje jeszcze wszystkich momentów, składających się na proces wyboru zawodu. Jakżesz bowiem wybierać zawód, jeśli się go nie zna? Rzecz oczywista nie chodzi tu o wiedzę jasną i dokładną. Poznać jakiś zawód jasno i dokładnie można dopiero wtedy, gdy się w nim pracuje. Wtedy dopiero odsłaniają się wszystkie jego strony ujemne i dodatnie, często różnie ujmowane przez różnych ludzi. Jednakże częściową wiedzę o zawodach można już zdobyć przedtem. Lite-

ratura psychotechniczna, niestety przeważnie obca, posiada cały szereg t. zw. monografij zawodowych. Monografje takie podają opis i warunki pracy, stanowiącej istotę danego zawodu, drogi na których zdobyć sobie można wyszkolenie zawodowe, tereny pracy, trudności i korzyści jakie się z nią wiążą, wreszcie niezbędne dla dobrego jej wykonywania właściwości psychiczne i fizyczne. W języku polskim istnieją również próby takich monografij, podejmowane głównie z inicjatywy Polskiego Tow. Eugenicznego. Brak monografij w pewnej mierze zastąpić można przez dokładne poznanie programów odpowiednich uczelni, rozmowy ze znajomymi fachowcami i t. d. Wykorzystać należy każdą okazję, która przyczynić się może do wzbogacenia wiedzy o danym zawodzie. Gdy zasób informacji tego rodzaju jest już względnie obfity, wówczas trzeba przymierzyć niejako siebie samego do wytworzonego w myśli schematu zawodowego. To zestawienie stanowi już ostatni etap procesu wyboru zawodu. Niezawsze rzecz jasna wypada ono pomyślnie. Do niektórych zawodów mogą już dyskwalifikować same właściwości fizyczne jak np. ostrość wzroku, stan serca do zawodu pilota — wówczas dalsze badanie tego zawodu jest zbędne. Wybór innych zawodów może okazać się nieodpowiedni ze względu na niedostateczny rozwój pewnych dyspozycyj intelektualnych, a więc np. brak dobrze rozwiniętej wyobraźni przestrzennej stanowi poważną przeszkodę do zawodów technicznych, brak zdolności jasnego formułowania myśli do zawodu nauczycielskiego i t. d. Do innych zawodów dyskwalifikować nawet mogą braki w zakresie funkcyj motorycznych, a więc np. niedostateczna zręczność, pewność, spokój i precyzja ruchów rąk do zawodu okulisty, chirurga, dentysty i t. d. Wybór niektórych wreszcie zawodów uniemożliwić mogą, jak to już wspomnieliśmy wyżej, pewne właściwości charakteru i usposobienia.

Niektóre braki psychiczne dają się w pewnej mierze kompensować, to znaczy wyrównywać. Wówczas nie stanowią one decydującego przeciwwskazania. Czy i o ile kompensacja taka jest w jakimś określonym wypadku możliwą, zależy to zarówno od stopnia tych braków, od roli jaką właściwość dana odgrywa w pracy zawodowej, od rozwoju innych uzdolnień wreszcie, w niemałym również stopniu, od wytrwałości i siły woli danego człowieka.

Część młodzieży dokonywa wyboru zawodu już bardzo wcześnie, jeszcze na lat kilka przed ukończeniem szkoły. Są to przeważnie jednostki o uzdolnieniach wyraźnie zarysowanych i o wyraźnie skonkretyzowanych zamiłowaniach. Dla tych, oczywista, szereg uwag naszych nie będzie już aktualny. Znakomita jednak większość absolwentów i absolwentek szkół średnich nie ma dokładnie zarysowanych i wystarczająco przemyślanych i uzasadnionych projektów na przyszłość. Ci będą musieli zająć się bliżej i z nalcżytą powagą poruszonemi przez nas zagadnieniami. Wybór zawodu wymaga bowiem, jak to proóbowaliśmy przedstawić, solidnej pracy umysłowej i dużego skupienia wewnętrznego. Wymaga on również znacznej dojrzałości wewnętrznej, a niekiedy nawet i męstwa. Niepomyślny wynik zestawienia siebie z wymaganiami upragnionego zawodu wywołać może przejściowo stan zniechęcenia i rozczarowania , w konsekwencji dalszej jednak musi przynieść owoce dodatnie. Człowiek, psychicznie zdrowy musi znaleźć w sobie dość hartu, aby wyrzec się dawnych nierealnych marzeń i wejść na drogę, odpowiedniejszą dla niego od zamierzonej uprzednio. A gdy raz wejdzie na tę drogę, szybko uświadomi sobie, iż zadowolenie wewnętrzne dać może tylko praca, dostosowana do faktycznych możliwości pracownika. Zrozumie on również, iż praca taka jest też społecznie bardziej cenna.

Janina Budkiewicz

MODERNISTA

Słyszy się często zdanie, że cudowną rzeczą jest młodość.

— Ach gdybym ja mógł być młody, czegobym nie dokazywał — mawia zazwyczaj z goryczą taki starszy pan, poczem poważnie gładzi swą białą czuprynę i wzdycha.

Młodość słowo czarowne, tylko...

Zeszłej niedzieli odwiedził moją przemiłą ciocię Klarcię jej młodociany chrześniak ponoć cudowny chłopak, filar klasy VII-ej jakiegoś prowincjonalnego miasteczka, znakomity gracz i znawca piłki nożnej, bokser i lekkoatleta.

— Chłopiec nie zna Warszawy, ja jestem już za stara, więc bądź tak łaskaw i zaopiekuj się nim — powiedziała słodko ciocia Klarcia.

Gdy ciocia Klarcia mówi słodko, nie należy się nigdy sprzeciwiać, bowiem nieobliczalne mogą być skutki takiego oporu. Człowiek nie będzie miał ani chwili spokojnej w domu.

— Dobrze, ciociu, sprawi mi to prawdziwą przyjemność — odpowiedziałem potulnie.

— Ach, jakiś ty miły — szepnęła zacna Klarcia.

Przyjechał rano pociągiem pośpiesznym Zakopane-Warszawa. Był wielki, z nieco przykrótkiemi rękawami marynarki i trochę może bezmyślnem spojrzeniem dużych błękitnych oczu. Stąpał charakterystycznym krokiem footbolistów i marynarzy, kołysząc się lekko w biodrach.

Zwolniłem się dnia tego z redakcji, by być całkowicie na jego usługi i zdobyć sobie sprzymierzeńca w cioci Klarci w ważnej, a mocno skomplikowanej sprawie familijnej.

— Co będziemy robili? — zapytałem.

— Robili... chyba... zwiedzimy miasto.

— Doskonale, proszę pana, nasza Warszawa jest jedną z piękniejszych stolic europejskich. Stare miasto, Fukier, kolumna Zygmunta, Katedra Św. Jana, Kościół Bernardynów i t. d., i t. d. Chodźmy!

Poszliśmy.

— Ja nie chcę iść piechotą. — powiedział rezolutnie mój młody pupil.

— Doskonale, czem mogę służyć? Tramwaj czy autobus?

— Hm, autobus.

Tłoczno było dnia tego w benzynowazach magistrackich m. st. Warszawy. Tłum przypuszczał literalne szturmy do każdego przyjeżdżającego autobusu.

Młody czempjon prowincjonalnego sportu, zaatakował z taką głuchą furją wchodzących obywateli, że usłyszał kilka niezbyt parlamentarnych epitetów.

— Dureń! Zawalidroga! Przecież trzeba nie mieć ani trochę dobrego wychowania, aby rozpychać się w podobny sposób.

Wreszcie zostaliśmy wgnieceni do środka imponującego wehikułu.

— To tak wygląda Warszawa — zaczął płaczliwie mój młody kompan.

— A tak, drogi przyjacielu, lecz nie warto się tem przejmować. Wycieczka będzie jeszcze dla nas wszystkich przyjemna.

W odpowiedzi usłyszałem mruknięcie, które przypominało mi gulgot wyciekającej z karafki wody.

Wysiedliśmy na Placu Teatralnym.

— To jest Teatr Wielki — zacząłem nie wychodząc ze swojej roli cycerona.

— **Wielki,** nie widzę w nim nic nadzwyczajnego. Czy to największy wasz teatr?

— Chyba tak — odparłem zaskoczony wygórowanemi wymaganiami młodego prowincjonała.

— Bo to u nas w Dołach Mniejszych też są teatry, które nie wiele się różnią od waszych.

— W dołach tak wielkie teatry?

Rynek starego miasta. Odświerzone fasady domów. Zamierzchły nastrój dawno minionej przeszłości, cały urok tego tajemniczego czegoś, co sprawia, iż z zapartym oddechem czytamy niekiedy stare historyczne powieści. Zacząłem mówić, przywołałem na pomoc całą swoją znajomość historji starej Warszawy. Dziwnie mi się jakoś powodziło. Sam byłem zdumiony swojemi okrągłemi zdaniami. Bajeczną wprost werwą, z którą dyskurs swój wiodłem.

— **... i wówczas to ichmościowie, podkręcający wąsa gwarzyli sobie przy gąsiorku starego miodu, o tem jak białogłowy...**

— Ależ drogi panie, co było, a nie jest, nie należy przecie pisać tego wszystkiego w rejestr, jak mówi przysłowie. Cóż to może mnie obchodzić. Nam młodym dnia dzisiejszego poczucie rzeczywistości nie pozwala zajmować się podobnemi sprawami. — przerwał mi energiczne ciotczany chrześniak. — Lepiej zrobionoby, budując wielkie drapacze nieba na tym małym placyku, a miast wybrukowanej jezdni ładne boisko footbalowe. Byłoby to znacznie lepsze dla tężyzny narodu. My jesteśmy przynajmniej praktyczni.

— Umilkłem, nie chcąc sprzeciwiać się gościowi.

Wracaliśmy do domu jakoś skwaszeni. Coś się między nami najwidoczniej popsuło. Jakaś drobna sprężynka nie działała sprawnie. Uczucie niewygody podzielał, zdaje się, i siódmoklasista, który niekiedy rzucał ku mnie spojrzenia ziejące jadem i nienawistną wyższością.

Po drodze nie mówiliśmy o niczem innem jak o teradju i filmie dźwiękowym.

Wieczorem podziwialiśmy „Skrzydlatą eskardę" i piosenki jakiegoś wstrętnie wyglądającego murzyna.

— To jest rytm! To jest życie! — mówił mi z entuzjazmem mój młody kompan. — Ja się naprawdę dobrze czuję, gdy słucham śpiewu silnika, lub łoskotu obracających się kół fabrycznych. To się dopiero nazywa życie!

Znów zbyłem jego uwagę milczeniem.

Powróciliśmy do domu. Ciocia przygotowała herbatę. Konfitury, świetne bułeczki własnej roboty (jedyną rzecz, którą zdaniem mojem umiała świetnie robić ciocia).

Młodzieniec jadł z apetytem.

— I jakże ci się podoba Warszawa? — zapytała zacna staruszka.

— Pi! Uważacie mnie za prowincjonała. Przypuszczacie, że siedząc w Dołach Mniejszych będę odrazu olśniony. Że to wszystko zaimponuje mi, oszołomi, przyprawi o zawrót głowy, że dostanę ceglastych rumieńców i wielkim głosem wołać będę „Boże, jakież to piękne!" Nie, drodzy państwo, my, młodzież współczesna aż nazbyt dobrze rozumiemy i czujemy postęp. aż nazbyt dobrze wiemy co jest coś warte na tym świecie. U nas każdy, brzdąc w 4-tej klasie, doskonale wyznaje się na różnicy między silnikiem rotatywnym Rohn'a, a motorem Henriot'a, podczas gdy wy starzy — tu nastąpił pogardliwy ruch ręką.

— Nie wolno tak mówić, Adasiu.

Wywiązała się żywa, soczysta dyskusja, w której gwoli ostrożności nie brałem udziału.

— Co pan czyta obecnie? — zapytałem, gdy burza ucichła się nieco i gdy pianka buńczucznej młodości poczęła zwolna opadać ku dołowi.

— Wallacea, Marczyńskiego, Tomasza Manna, Erenburga — deklamował mi z dumą.

— A czy pan zna dokładnie literaturę klasyczną?

— Coś niecoś z musu w szkole. Bo przecie pan chyba nie wymaga, by Sienkiewicz mógł jeszcze odpowiadać nam **młodym,** lub abyśmy się dziś jeszcze zachwycali sławną trójcą wieszczów.

— Tam do djabła, jedziecie szybko. A czemuż to, mój drogi przyjacielu, nie macie się dziś zachwycać trylogją?

— Bo, bo, proszę pana to są przecie wszystko bzdury w których niema ani odrobiny współczesności.

Modernizm jest rzeczą bardzo piękną, zgoda!

Musimy iść z postępem czasu, zgoda!

Ale czy istotnie postęp polega na negowaniu wszystkiego, tego co było. Na odsądzaniu od czci i wiary **piękna,** które istnieje, marząc jedynie o **pięknie,** które istnieć będzie.

Mam nadzieję, że chrześniak cioci Klarci jest osobnikiem prawie odosobnionym, że ogół młodzieży nie tęskni za ultramodernizmem, udając zblazowanych i znudzonych gentlemanów. Istnieje jeszcze ta młodzież, żywa, skłonna do zachwytu i entuzjazmu rozumiejąca poezję jutra, ale nie wstydząca się dnia dzisiejszego, ani wczorajszego. Nie na tem polega chyba postęp.

Jerzy Lewestam

WINOBRANIE

W owe dni, rozpalone słońcem aż do białości, winne grona nabrzmiewały sokiem i barwa ich stawała się coraz żywsza. Ale jeszcze nie zaraz były dojrzałe. Przyszły dni nie tak upalne, a jeszcze później trochę deszczu i zimna. Już się martwiono, że to zaszkodzi winogronom. Więc kiedy pierwszy raz po niepogodzie znów wychyliło się słońce, stało się jasne, że właśnie jutro trzeba rozpocząć winobranie. Z tą radosną wieścią przybiegli do mnie po obiedzie chłopcy. A właściwie to przybiegła sama wielka radość, z roziskrzonemi oczami, rozkrzyczana. Przez kilka dni nie będzie wcale lekcyj, tylko pójdziemy do pracy, na winnicę! Choć to praca ciężka i męcząca (oho! — straszyli mię — zobaczy pani!), ale zawsze lżej, niż nad książką. Bo na winnicy grzeje słońce. I jeść można słodkie winogrona, ile tylko się zmieści. A najsłodsze (niech pani wie!) są Aragon blanc. Mówili to i wiele innych rzeczy, aż i mnie się udzieliła ich radość. Wiedziałam już oddawna, że w St. Elix winnica nie jest duża, więc na winobranie wyruszają prawie wszyscy domownicy. Czasem się kogoś jeszcze najmie, ale to bywa rzadko. Jednak tym razem miało to miejsce.

Wieczorem przyszła do mnie pokojówka Marietta, aby, jak zwykle, przygotować mi na noc łóżko. Była to Włoszka. Dwa lata, spędzone w południowej Francji, nauczyły ją mówić po francusku najgorszym tutejszym akcentem. Mówiła z przesadną śpiewnością i wymiawiała „soz" zamiast „chose"; brzmiało to jak w polskim mazurzenie. W niezgodzie z tradycją swej rasy, miały jasne, złotawe włosy i szafirowe oczy. Zwykle wesoła i rozmowa, dziś była dziwnie milcząca. Jakoś się jednak tak zrobiło, iż przemówiła. Również zaczęła od tego, że jutro winobranie. Ale mówiła o tem inaczej niż chłopcy, — zupełnie inaczej. Smutnie i niechętnie. Wcale się z tego nie cieszy. Dlaczego? Byłam zdziowiona. Bo ten obrzydliwy, nieznośny Romeo też przyjdzie na winobranie. Dziś przed wieczorem przyszedł się nająć i „patron" go przyjął. Coraz mniej rozumiałam. Wiedziałam, że Romeo jest to porządny, młody, przystojny chłopiec, który również po zarobek przywędrował do Francji ze swej gęsto zaludnionej ojczyzny. Marietta była z nim zaręczona, czy też po słowie. Podobno nawet bardzo zakochana. Coś o tem ostrożnie wspomniałam. Ach, niech ją broni słodka Madonna od tego człowieka! Już od tygodnia nie może na niego patrzeć! Kiedyś, ale nie teraz... Sam djabeł milszy od niego! Ledwie odważyłam się zapytać, co ten biedny Romeo zawinił. I wtedy gniewne słowa rzuciły się wartkim strumieniem z ust Marietty. Już więcej niż tydzień temu skończyło się winobranie u zamożnego gospodarza na wsi. U pana Gibon. Pan Gibon wyprawił dla jego uczestników, jak to jest w zwyczaju, huczne tańce w Café Marrast. Było też tam dużo ludzi z gór Kastylskich[1]). Romeo poszedł do Café, ale nie tańczył, tylko pił z kastylskimi ludźmi, aż go nieprzytomnego przynieśli do domu. Marietta

---

[1]) Ludzie z gór Kastylskich, t. j. Hiszpanie cieszą się w południowej Francji złą opinją, gdyż podczas winobrania szumowiny społeczne, nawet przestępcy, przychodzą do departamentów franc., leżących blisko granicy hiszpańskiej.

NAD BOSFOREM

(Podróży do Konstantynopola cz. II)

Dużo najrozmaitszych myśli ogarnia człowieka, kiedy ma zobaczyć rzecz niewidzianą dotychczas. Natężenie tych myśli jest, rzecz prosta, zależne od tego, co się ma ujrzeć i jakie wogóle wyobrażenia są związane z pojęciem tego przedmiotu. Wiem, że nie robiłem sobie wywodu filozoficznego, kiedy z Sofji zabrał nas pociąg prosto na Konstantynopol. Wszelka bowiem filozofja przychodzi po odniesieniu wrażeń. Jak się okazuje nawet bardzo po — minęło bowiem od kwietnia r. 1927 lat trzy.

Jeszcze raz Philipopol i 18 kwietnia rano budzimy się w Grecji, a raczej budzi nas szalony wiatr. Dokoła puste pola,



Widok na Stambuł—meczety Jeni i Sulejmana ze statku.

nad któremi nisko wiszą szare mgły. Budynek stacyjny — na nim sztandary biało-niebieskie. Granica grecko-turecka. Żołnierze greccy w niczem nie przypominają herosów ze szkolnej mitologji. Są ubrani, jak Francuzi. Pociąg niesie nas coraz prędzej lekko falistym krajem, wśród drobnego, siepiącego deszczu. Tak mija cały dzień. Ciemno jest, kiedy nagle po prawej stronie rysować się zaczynają baszty i mury starożytnego Bizancjum. Wraz z tem w nastrój padają pierwsze szelesty zdenerwowania i radości. Nareszcie! Przypadamy do okien. Przed nami jest Morze Czarne, które pamiętamy z Bułgarji.

Niewiadomo kiedy jęknęły hamulce — dworzec! Wyskakujemy na peron. Witają nas bardzo nieliczni przedstawiciele kolonji polskiej w Konstantynopolu. Z naszymi przewodnikami udajemy się do Domu Polskiego. Jest to daleko od dworca, który znajduje się w romantycznej dzielnicy, zwanej Stambułem. Musimy tedy przejść Galatę i dopiero w Perze (trzecia dzielnica Konstantynopola) jest Dom Polski. Idziemy. Nikt się chyba nie będzie dziwił, jeśli powiem, że serce biło mi inaczej niż zwykle i na wszystko patrzyłem błyszczącemi z radości oczami. Stambuł, specjalnie on, znany z wszelakich legend i powieści narzucił się mojej uwadze. Obok małych drewnianych domków, gdzie okna znajdują się bardzo wysoko, stoją strzeliste, współczesne gmachy banków, poselstw i t. p. Ulice jasno oświetlone elektrycznością. Gdzie jest urok wschodu?

Jest. I patrzy w twarz cywilizacji. Od głównych ulic odchodzą małe, ciemne przecznice, biegnące wdół, jak strumyki. Tam jest tajemniczość i nastrój. Ruch ogromny. Wspaniałe limuzyny, pierwszorzędne cukiernie, pełne wytwornych pań i panów, gwar różnojęzyczny, specjalnie z przewagą francuskiego — oto rzeczy, które wyławiam przedewszystkiem, idąc przez Galatę. Na moście, za przejście którego każdorazowo płacimy wielkiego, mosiężnego piastra, wprost wieża Babel. Potem wchodzimy między białe mury, gdzie niema okien, tylko furtki do domów, ukrytych w ogrodach. Oto i Dom. Kolacja i sen. Nie wszyscy jednak idą zaraz spać. Ja wchodzę w poszukiwaniu nowych wrażeń na szczyt domu i widzę stamtąd leżące wdole morze, jak czarna płyta, latarnię morską, rzęsiste, drgające światła portu. Dochodzi tu, jak głuchy tętent, wrzawa miljonowej stolicy, placówki Europy na wschodzie siłą ścierają się tu dwa prądy, muzułmański i chrześcijański.

Następnego dnia, rankiem, wracamy do naszych „pieleszy“, t. zn. wagonów, które odbywają z nami podróż od początku do końca. Tu zjadamy śniadanie, przyrządzone przez nasze najsympatyczniejsze koleżanki, gotujące podejrzane sosy pod przewodem p. dyrektorowej Gałeckiej. Zwycięża przy-

---

nie pójdzie za mąż za pijaka, bo nie chce być potem nieszczęśliwa jak madame Françoise. Już trochę zaczęłam rozumieć. Madame Françoise, żona miejscowego ogrodnika, była godna współczucia, gdyż mąż jej pił bezustanku i bił ją stale, z niewielkiemi przerwami. Ale przecież nigdy nie słyszałam, żeby Romeo był pijakiem. Znów coś o tem wspomniałam. Niby nie był, ale czy można komu wierzyć, jak kto się raz tak upije? Potem przepraszał, że to tylko raz mu się zdarzyło, że już nie będzie. Nie chciała słuchać, ani na niego patrzyć! Niech sobie idzie, choćby do piekła! A tu, na winnicę, pcha się też bez potrzeby? Jak ją dobra Madonna wysłucha, to co złego może go spotkać! Umilkła zadyszana, oburzona, ze łzami w oczach zatrzęsła obydwoma rękami. Zbrakło mi już odwagi, aby jej przedłożyć, że może Romeo nie jest tak bardzo winien, bo to tylko raz jeden. A dobry wpływ porządnej dziewczyny też wiele może. Wolałam już nic nie mówić, a rozgniewana Marietta uspakajała się zwolna, powtarzając z głębokim żalem: „C'est comme ça... c'est comme ça...“

Nazajutrz rano poszliśmy do winicy. Po prawej stronie parku, za warzywnym ogrodem łagodnie w dół zstępowała, gdzie wśród zieloności, w futerale z wodorostów, krył się niewielki staw. Choć był niewielki, jednak okazał się ważny. Bo nie można było rozpocząć winobrania od pierwszych linij w stronie stawu, gdyż grunt odmawiał tu posłuszeństwa szukającym oparcia nogom. Trzeba więc zostawić jeszcze w spokoju te winne szeregi i pójść dalej. Po chwili każdy już miał wyznaczoną linję. Monsier Targue objął dowództwo. I ręce, uzbrojone w sekatory lub nożyki, zaczęły wrzucać do wiader ciężkie, winem wezbrane grona. Z początku szybko każdy napełniał swe wiadro i z dumną radością odnosił do tych punktów odbioru, gdzie rozstawione były „comportes“. Poprostu były to wielkie kadzie, do których zsypywano winogrona, ale nawet mówiąc po polsku, zachowywaliśmy wyraz obcy, gdyż wydawał się tu bardziej odpowiedni. O, jakże piękne były „comportes“, gdy już winne jagody wypełniły je po brzegi! Wykradając czas pracy, zatrzymywałam się przy nich dłużej, ciesząc oczy grą przeróżnych odcieni szmaragdów, ametystów i szafirów. Nie chciało mi się myśleć o tej chwili, kiedy piękność ich zniknie niepowrotnie, a one zamienią się w wino. Kiedy już wszystkie kadzie były przepełnione, wtedy zbliżał się dwukołowy wózek, ciągniony przez konia, imieniem Papillon. Koń był niezwykle chudy, wysoki i czarny. Imię konia było piękne, gdyż kochano go tu bardzo, może więcej niż wszystko, co się znajdowało w obrębie podwórza. Jakże go było nie kochać, skoro urodził się tu i wychował. I podczas, gdy w garażu stały trzy lśniące auta, ten czarny, chudy koń był jeden, jedyny. Zbliżał się więc powoli za sprawą równie chudego Julles'a, a wtedy ładowano „comportes“ na wózek i winogrona odjeżdżały do piwnicy, gdzie czekały na nie beczki z kranikami. Tu był koniec gron winnych, a początek cennego płynu. Gdy już sobie odjechały, wtedy można było wyprostować na chwilę zmęczone plecy i popatrzeć na upstrzoną ludźmi winnicę. O kilka linij dale ode mnie pracowała Marietta. Ze zdziwieniem dostrzegłam, że zaraz obok niej na wyznaczoną linję Romeo. Widać, że tak chciał los.Romeo miał smutne oczy i często spoglądał w stronę dziewczyny. Spokojny był, choć uważny i wyczekujący. Marietta zdawała się nie zawracać najmniejszej uwagi na swego sąsiada. Czasem, odwrócona w naszą stronę, śmiała się i coś wykrzykiwała w swoim śpiewnym, choć mało do francuskiego podobnym języku.

słowie o tem, że głód jest najlepszym kucharzem i zjadamy wszystko, posuwając się do oświadczeń, że... ,,owszem, owszem, było bardzo dobre". Spokój mącą pędraki tureckie, siedzące na murze, otaczającym dworzec kolejowy, wywrzaskujące jednostajnie prośbę o ,,bakczysz" czy ,,l'argent". Te wyrazy słyszy się tu najczęściej i to bardzo natrętnie. Po śniadaniu wybieramy się grupami na zwiedzanie miasta. Zaraz koło dworca wspaniale rzeźbiona brama Stambułu, która została z dawnego stanowiska posterunku czołowego zepchnięta na miejsce zabytku, znajdującego się wewnątrz strzeżonego dawniej miasta. Niedaleko stąd znajduje się kilka pięknych sarkofagók i płyt, poświęconych pamięci najznaczniejszych wezyrów sułtańskich. Ponad zbitą, białą masę domów wystrzelają iglice minaretów. Owiewa, je złoty pył słońca.

Przedewszystkiem musimy oczywiście zobaczyć dwa największe meczety Konstantynopola: Ajja Sofja i meczet Achmeda. Stoją one naprzeciw siebie, oddzielone obszernym placem, na którym są dwa obeliski, sprowadzone z Egiptu w r. 390 i ogromne drzewo, rzucające cień na wielki płat ziemi, znajdujący się pod jego konarami. Meczet Achmeda, zbudowany w roku 1608, wzorowany jest pod względem arcihtektonicznym na Ajji Sofji. Zdejmujemy buty i wchodzimy. Ze stropu zwieszają się ciężkie lampy ongi oliwne, a dziś z postępem czasu elektryczne. Posadzka wyłożona miękkiemi dywanami, ściany ozdobione wzorami z białej i niebieskiej porcelany. Kierunek na św. Mekkę wskazuje nisza, w której stoi na trójnogu Koran. Jakiś Turek modli się z zapałem, co wyraża się w bardzo trudnych pod względem gimnastycznym pokłonach, kiedy trzeba wiele razy dotknąć czołem posadzki i wstać na proste nogi. W ten sposób zaprawiał Mahomet nawet w modlitwie do trudów życia żołnierskiego swoich wyznawców i na tem opierał swoje podstawy do zwycięstwa Koranu na świecie. Stąd idziemy do Ajja Sofja, perły budownictwa bizantyńskiego. Że to jest zbudowany przez Justynjana kościół i dopiero w roku 1453 przerobiony na meczet — widać wyraźnie; anioły na ścianach zamalowane są zieloną farbą tak, że widać jeszcze szkrzydła, z których utworzono ornament, na miejsce obrazów świętych dano zielone koła ze złotemi cytatami z Koranu. Przedsionek wyłożony jasnemi matami. Wrażenie po wejściu do środka nadzwyczajne! Na czterech ogromnych kolumnach z malachitu, z których każda mimo swej wielkości rzeźbiona była z jednego kawału, opiera się jedna z największych kopuł na świecie. Wrażenie lekkości nadają tej budowli wycięcia u szczytu. Ściany to istne cuda! Ogromne płyty marmuru są tak dobrane żyłowaniem, że stanowią przedziwne kompozycje. Widzi się kwiaty, głowy wielbłądów, piękne ornamenty. Wysoko, 5 metrów nad posadzką, widać jasną plamę — coś w rodzaju śladu dłoni. Na ten temat istnieje legenda. Oto kiedy w roku 1453 Mohammed zdobył Konstantynopol wielka część ludności schroniła się do kościoła św. Zofji (dziś Ajja Sofja). Tu nastąpiła straszna rzeź. W pewnej chwili wpadł na białym koniu sułtan i uderzywszy dłonią w ścianę dał w ten sposób znak łaski. Ile trupów było w kościele świadczy wysokość na jakiej znajduje się odbicie dłoni. W oknach barwne witraże, rzucające kratę hramonijnych kolrów na posadzkę, gdzie gasną one



Bebek pinje na ruinach pałacu.

w puszystych dywanach. Na podjum stoi wspaniały, zielony sztandar Machometa. W jednej z kolumn, t. zw. płaczącej widać otwór, jak w muszli. Mówią, że gdy ,,wierny" dotknie tego miejsca, przewidzi, jeśli był ślepym. Wielu musiało być tych ,,wiernych", — świadczy o tem rozmiar wyżłobionego w malachicie otworu. W jednej z nisz inna nadzwyczajność: grobowiec Roksolany, branki polskiej, następnie żony sułtana. Z wnęki, wskazującej na Mekę, widać Bosfor i Azję. Wszystko tonie w słońcu. W bocznym korytarzu oglądamy ,,Raj Machometa" w obrazkach, bardzo barwnych i przekonywujących pod względem wymyślnych rozkoszy, jakie tam oczekują jego wyznawców. Niedawno było największe święto mahometańskie Bajramu (wogóle Turcy świętują piątek). Idziemy do miasta i po drodze pokazują nam Kolumnę Wężową z cza-

---

A czasem chmurna jak noc wyszarpywała winne grona, nie odzywając się, ani nie patrząc na nikogo. Raz zauważyłam, że Romeo, gdy wiadro dziewczyny było przepełnione, przeskoczył drucianą zaporę, schylił się i chciał je zanieść do ,,comporte". Uważał, że będzie jej za ciężko. Wtedy odepchnęła go gwałtownie, porwała wiadro i pobiegła. Nawet parę razy zakołysała wiadrem w powietrzu. I wszystko to ze złości. Zawzięła się.

Przez cały dzień pracowaliśmy na winnicy, z krótką przerwą podczas obiadu. Gdy czerwone słońce znalazło się nad ciemną aleją pinij i przybrało ich kapelusze w różowawe blaski, zeszliśmy z roboty, ale nie dostrzegłam, aby choć cień łaski dla Romea zabłysł w oczach Marietty. Czyżby naprawdę nie mieli się pogodzić?

I na drugi dzień było podobnie: ta sama winnica, ci sami ludzie i słońce, uśmiechnięte łaskawie, gdyż zapewne zadowolone, że ktoś pracę jego w dalszym ciągu prowadzi. Ta tylko różnica, że już pozostało za nami kilkanaście szeregów, na których nie było ani jednej jagody. Stały sobie winne krzewy, nie wzbudzając już niczyjego zainteresowania; spokojne były, bo oto obowiązek spełniony. I jeszcze dla mnie dzień drugi był trochę inny, niż pierwszy, bo już się mniej kaleczyłam sekatorem i zaczynałam już rozeznawać, czem się różnią Blanquette du Linoux od Gros noir czy Aragon blanc. Ale Marietta i Romeo pozostali bez zmiany. Znów pracowali na sąsiednich linjach; on cichy, opanowany, a ona zła i pochmurna. Już i do nas nawet czasem się nie śmiała.

Aż przeszedł trzeci i ostatni dzień winobrania. Pracowaliśmy juz wszyscy bez tego zapału i dumnej radości, która znaczyła początek pracy. Znudziły się słodkie winogrona, plecy bolały coraz bardziej, więc już nawet trudno cieszyć się słońcem. Byle dokończyć jak najprędzej. I Marietta też już chyba chciała dokończyć. Ręce jej się trzęsły i zęby miała zaciśnięte. Zdawało mi się chwilami, że rzuci pracę i ucieknie z winnicy. Jednak nie uciekła, tylko znać było, że już jej ciężko idzie to winobranie. Więc nic dziwnego, iż spokojny Romeo musiał ją w pracy prześcignąć. Skończył swoją linję, gdy ona była ledwie w połowie. Zgodnie zatem z prawami winobrania musiał dopomóc sąsiadowi. Bardzo byłam zmęczona i zajęta upartą myślą, żeby już raz skończyć, więc sama nie wiem, jak to się stało, że Marietta nie zrobiła krzyku. Na chwilę uniosłam głowę nad winogronem i widzę: obrywają do spółki jakiś krzak winogronowy A potem zdawało mi się, że Romeo mówił coś do Marietty.

Nareszcie ostatnia linja była skończona. Z radosną ulgą wyprostowali wszyscy plecy, odali w ręce pana Targue'a oblepione słodkim sokiem sekatory. Ostatnie ,,comportes" powiózł chudy Papillon, a za nim wszyscy zaczęli opuszczać pole trzydniowej pracy. Zatrzymałam się przez chwilę, gdy właśnie mi objaśniał właściciel winnicy, że jeszcze tej jesieni trzeba będzie tu powrócić. Trzeba będzie poobcinać te winne pędy, pozbawione owocu. Ażeby przygotować winorośle na przyszłe winobranie. Więc trochę później wychodziłam z winnicy niż inni. I wtedy zobaczyłam, że z za ostaniej linji winogrona wychodzą właśnie Romeo z Mariettą. Z ładnym uśmiechem prowadził ją za rękę. A ona też się śmiała i oczy miała pełne iskier, może ze szczęścia, a może od słońca, które paliło się różowo nad wierzchołkami pinij.

Marja Krzyżanowska

sów Konstantyna Wielkiego. Niedaleko cysterny justynjańskie. Po pewnym czasie pyszny słup z porfiru, wysokości 40 metrów. Słup ten popsuł się w wieku XI i połatano go płytami żelaznemi. Szczyt jednak naszej radości to wieża saraceńska, zbudowana przez Mochammeda II (w. XIX).

Ludziom, znajdującym się na niej wydaje się, że ona jedzie, jak okręt. Maszt, który tam stoi kreśli jakieś linje po niebie. Spojrzenie wdół przyprawia o zawrót głowy. Widać z niej cały Konstantynopol, Azję, Morze Czarne i Bosfor, aż hen po granicę horyzontu. Teraz idziemy do meczetu Bajazeda II. (w. XVI). Przed świątynią dziesiątki skrybów, wpisujących listy, prośby i t. d. Poważni obywatele, siedząc przed meczetem z podwiniętemi nogami, palą nargillę. Gołębi tak dużo, jak na placu św. Marka w Wenecji. Niebo najpogodniejsze, słońce kipi na niem, jak cudowna gwiazda. Po obiedzie wiozą nas statkiem do Azji Mniejszej: Scutari. Jest tu wśród pinji i cyprysów, cicho drzemiący cmentarz katolicki. Najwięcej oczywiście budzi uczuć grób z angielskim napisem na białym marmurowym krzyżu: „In loving meory of general Marian Langiewicz, ex-dictator of Poland...". Data 10 maja 1887 roku. Obok grób jego żony: „Also Suzanne his wife... 2. II. 1837 — 24. X. 1906". Zwraca powszechną uwagę imponujący pomnik z piaskowca wystawiony przez królowę Wiktorję ku czci żołnierzy angielskich, którzy zginęli tu w czasie wojny krymskiej w r. 1895. Po powrocie jedziemy tramwajem do Pasha Bakcza, skąd jest 16 klm. do Adampola. Tam umarł Adam Mickiewicz. Osada jest polska i liczy 30 rodzin. Wieczorem najbardziej nieoficjalna „włóczęga". Łazimy po kawiarenkach Stambułu, po zaułkach Galaty, po krętych uliczkach Pery. Jesteśmy, jak urzeczeni. Gardłowe krzyki Turków, masa daktyli, pistacji, pomarańcz, tanie wino — wszystko razem daje w sumie i zawrót głowy i zadowolenie. Nazajutrz (21 kwietnia) rano o godz. 6.30 jedziemy statkiem na Wyspy Książęce.

Wiatr taki przejmujący, że mimo palącego słońca zdaje się, że jest bardzo zimno. Rzadko kto siedzi na pokładzie. Ja, zakochany w wietrze, kładę się na płótnie, które leży na dziobie i jednocześnie ziebnę i opalam się. Omijamy wysepkę Principo, następnie jeszcze jakąś i wreszcie przybijamy do portu Casino Touran na wysepce Chalki. Wysiadamy i idziemy na spacer. Jest tu tak pięknie, że wprost nikt nie potrafi się spokojnie zachować. „Szaleje" też towarzystwo, jak się patrzy. Radość życia kipi w gorącem słońcu i pod najbłękitniejszem niebem. Biegamy i śpiewamy, nie bacząc na to, że jesteśmy przeważnie w najwyższych klasach gimnazjalnych. Mój Boże, jaki to kiedy indziej kładło się na te nieszcęsne klasy nacisk! Tu pryskają wszelkie z zewnątrz przyniesione reguły i konwenanse. Drogi, prowadzące dokoła wysepki idą wśród palm, cyprysów i pinji. Morze wprost idealnie lazurowe, przybierające u brzegów barwę zieloną o bardzo silnem szafirowem nasyceniu.

Niektóre miejsca wyglądają, jak pawie oka. Nagle zjawiają się Turcy z osiołkami i wielu z nas, a nawet „powagi" za 50 piastrów odbywają podróż dokoła wyspy. Wypoczywamy na górce, z której roztacza się wspaniała panorama. Nad brzegiem morza pobudowane są śliczne, lśnięco-białe wille, wyglądające zdaleka, jak pierścień srebrnej piany. O szóstej wracamy do Konstantynopola. Zachód słońca, widziany na pełnem morzu robi nadzwyczajne wrażenie bogactwem tonów od czarnego do oślepiającego, złotej i srebrnej białości.

Zaraz po przybyciu do miasta idziemy całą „paką" na bazar, żeby nakupić „pamiątek". Jutro już bowiem wyjeżdżamy. Wpadamy w taki straszliwy wrzask i harmider, o jakim żaden europejszyk nie może mieć pojęcia. Uderzenia kotłów krzyki przekupnioów, wołania woźniców, trzask batów, wycia że braków i zawsze podniesionym głosem prowadzone targi, pełne przysiąg i złorzeczeń — waliły się na nas i oszałamiały. Stragany, zarzucone tkaninami o najfantastyczniejszych barwach, budy z fezami, sklepy z bronią, z damasceńskiemi sztyletami, z pantofelkami, z chałwą, z daktylami, z pistacją, z cukrem trzcinowym, fajkami i setką innych rzeczy, pomieszane, jeden obok drugiego. Kupcy i przekupnie siłą nieomal porywają nas i wtłaczają nam w ręce to lub owo, ceniąc zawsze dziesięć czy dwadzieścia razy więcej, niż dany przedmiot kosztuje. Liczą oczywiście na to, że odurzeni „niewierni" nie będą się targować i kupią wszystko, oczarowani egzotyzmem tego, co ich otacza. Stąd wychodziły takie historje, że przynosiło się do Domu polskiego jakąś rzecz, kupioną „bajecznie" tanio, bo z ceny np. 100 funtów tureckich obniżoną do 30-tu i dowiadujemy się, że dostać to można normalnie za 8 czy 10 funtów. Skandal! Niejeden taki wypadek zdarza się w czasie naszych zakupów. Pozatem poznaję wschód z jego oryginalnej strony: okradziono mię doszczętnie i gdyby nie pomoc jednej z kolczanek, która jakimś cudem nie zginęła w tłumie, musiałbym zrezygnować z kupna „skarbów", tak potem w Polsce podziwianych.

Ostatni spacer... Turczynki silnie umalowane nie robią nas nas specjalnie wrażenia, a Turcy w niczem nie przypominają legendarnych bohaterów. O, gdyby się tu mógł „czas cofnąć i odwrócić lice"! Zobaczyłbym wtedy Konstantynopol bez tej, wtołczonej mu na dostojną twarz maski cywilizacji.

— — — — — — — — — — —

W drodze powrotnej jedziemy przez Grecję, Bułgarję, gdzie droga wiodła od Warny na południe przez wspaniałe Bałkany. Tam na stacji Krastec spotkaliśmy króla bułgarskiego, Borysa, co uwieczniło jedyne i bardzo poruszone zdjęcie. 23 kwietnia na pięknej i nazawsze nam drogiej ziemi Bułgarów obchodzę imieniny. Wino, jako-że niedaleko już do końca tych rozkoszy, pijemy na umór. Jak zwykle nieoficjalnie. Stąd i Świat nieco się... kołysze i słońce jest jaśniejsze.

Wstrętną koleją rumuńską dostajemy się do Bukaresztu. Miasto bardzo ładne, choć pozostające, ze względu na swoje bogactwo w jaskrawej sprzeczności z nędzą ludności. Pałacyków niesłychanie dużo, z tego powodu podobno Bukareszt nazywany jest „miastem pałaców". Są tu obok elektrycznych i konne tramwaje. Widzimy je po raz pierwszy w życiu.

„Jakże piękne i smutne są dni, które minął!" Jednak wspomnienia o tej najpiękniejszej podróży pozostaną w mojej pamięci bodaj nazawsze, aby koić, kiedy będę smutny, umacniać, gdy słaby.

J. R. Gietling

Jak prowadzić zebrania

(Dokończenie)

VI. Plagą wszystkich zebrań są różne przemówienia **„w sprawie formalnej"**, „w sprawie nagłej", „w sprawie sprostowania", „w sprawie osobistej" i t. p., ogromnie często nadużywane. Wieloletnie doświadczenie prowadzi do ustalenia następujących reguł: 1) przemówienia „w sprawie formalnej" mogą dotyczyć jedynie sposobu prowadzenia dyskusji, lub głosowania i muszą zawsze kończyć się „wnioskiem formalnym"; 2) przemówienia „w sprawie nagłej" mogą dotyczyć wyłącznie kwestji, związanych z techniczną stroną obradowania, np. „proszę zapalić światło", lub „zamknąć okno"; 3) kolejność przemówień winna być następująca: a) sprawy nagłe, b) formalne, c) merytoryczne; 4) sprostowania i wyjaśnienia **faktyczne**, które winny być składane przed samym głosowaniem, przyczem nie mogą one być zamaskowaną polemiką; 5) wszelkie „oświadczenia" i wyjaśnienia **osobiste** mogą mieć miejsce, albo w zwykłej kolejności, albo dopiero **po** głosowaniu i przed przejściem do następnego punktu porządku dziennego.

VII. **Wnioski** dzielą się na trzy kategorje: a) zwykłe, b) nagłe i c) formalne. Przy wnioskach nagłych, t. j. nieobjętych porządkiem dziennym, najpierw dyskutuje się nagłość, potem zaś meritum. Wnioski formalne (głosowane przed zwykłemi i nagłemi) mogą dotyczyć tylko sposobu prowadzenia obrad, t. zn. dyskusji, albo głosowania. O kolejności rozpa-

trywania wniosków formalnych (gdy zgłoszono ich kilka) decyduje ich treść: a więc np. wniosek o votum nieufności dla prezydjum ma pierwszeństwo przed wszystkiemi inemi, a wniosek „o głosowanie bez duskusji" przed wnioskiem o ograniczenie tejże. W wypadkach spornych decyduje przewodniczący, lub prezydjum w myśl zasady, iż **najpierw** winien być załatwiony **najdalej idący**, gdy to kryterjum zawodzi, wówczas winna być brana pod uwagę kolejność zgłoszenia.

Poprawki mogą być zgłaszane zarówno do wniosków zwykłych jak i formalnych (nagłe po przyjęciu nagłości stają się zwykłemi). Poprawki muszą być zredagowane w jednej z następujących form: a) **skreślić** określone słowa, b) **dodać** określone słowa, c) **zastąpić** określone słowa innemi. Wszelkie inne propozycje nie są poprawkami, lecz samodzielnemi wnioskami i muszą być odpowiednio traktowane.

W dyskusji nad wnioskami formalnemi i nad nagłością powinny zawsze przemawiać tylko trzy osoby: wnioskodawca, jeden „przeciw" i jeden „za", przyczem czas przemówień nie może przekraczać 3-ch, najwyżej zaś 5-ciu minut.

Niekiedy regulamin wylicza wszystkie możliwe rodzaje wniosków formalnych. Np. regulamin b. Rady Nadzorczej „Bratniej Pomocy" Un. Warsz. przewidywał, ni mniej ni więcej, tylko... 31 odmian wniosków formalnych i ustalał ścisłą kolejność ich rozpatrywania. Mówcie sobie, co chcecie, ale jest to doprawdy ogromne ułatwienie dla przewodniczącego.

VIII. Przechodzimy obecnie do **głosowania.** Na plan pierwszy wysuwa się zasada, że **głosy wstrzymujących się nie powinny być brane pod uwagę** przy obliczaniu wyniku; analogicznie nie należy liczyć białych kartek przy wyborach. Kto nie chce jakiejś kwestji decydować, kto nie chce, lub nie może, lub nie umie zająć stanowiska — ten nie powinien wpływać na rozstrzygnięcie, gdyż dzieje się to poniekąd **wbrew jego woli.** Kto sam się wyłącza ze społeczności głosujących, nie może być uważany za jej członka. Od tej reguły niedopuszczalne są jakiekolwiek wyjątki. Poprawkę głosuje się przed wnioskiem. Gdy wniosek upadnie, poprawkę należy uważać za niebyłą, choćby była już przedtem uchwalona.

Gdy zachodzi wypadek **równości** głosów, stosowane są różne systemy rozstrzygnięć. Najwłaściwszy wydaje się sposób następujący: przewodniczący bierze udział w głosowaniu na równi z innemi, gdyż nie może być pozbawiony swych praw, jako członek zebrania; na małych zebraniach (do 15 osób) głos przewodniczącego przeważa, na dużych — w razie równości głosów wniosek, lub kandydatura upada.

Niekiedy projekty przechodzą przez t. zw. **trzy czytania.** Dzieje się to zwykle wtedy, gdy prezdmiotem obrad jest statut, większy regulamin, lub inna sprawa skomplikowana ujęta w szeregu punktów. Wówczas I-sze czytanie polega na dyskusji ogólnej i głosowanie nad tem, czy projekt przyjąć za podstawę do dyskusji szczegółowej; w II-giem czytaniu dyskutowane są i głosowane poszczególne części projektu (artykuły, paragrafy i t. d.); wreszcie w III-ciem czytaniu projekt, przyjęty w II-giem, jest dyskutowany i głosowany **en bloc,** wolno jednak zgłaszać do niego poprawki.

Reasumpcja jest instytucją wyjątkową i powinna być stosowana jedynie w wypadkach nadzwyczajnych, gdyż stwarza niepewność sytuacji. Reasumpcja na tem samem zebraniu wymaga zawsze większości „kwalifikowanej" — ⅔, ³/₅ głosujących, lub t. p.; na następnem zebraniu może być uchwalona większością zwykłą.

Tajność głosowania jest uzasadniona jedynie przy głosowaniu nad kwestjami o charakterze osobistym. Głosowanie **imienne** ma na celu utrwalenie nazwisk głosujących „za", i „przeciw". Oba te sposoby są stosowane zwykle na życzenia pewnego odsetku zebranych, np. ¹/₅. Jak postąpić, gdy zgłoszone są jednocześnie wnioski o głosowanie tajne i imienne. Zależy to od charakteru głosowanej sprawy.

Głosuje się zwykle najpierw „za". Czasem jednak można zmienić kolejność dla zyskania na czasie, a mianowicie wtedy, gdy należy się spodziewać, że wniosek bez dużego sprzeciwu przejdzie. „Kto jest przeciw?" — pyta zaspanym głosem przewodniczący o godz. 3-ciej nad ranem: podnoszą się dwie ręce; „kto się wstrzymuje?" — jedna osoba; „stwierdzam, że wniosek przeszedł!"

IX. Z kolei sprawa **wyborów.** Była mowa już o tem, że kartki białe nie powinny być uwzględniane przy obliczaniu wyników. Wybory z reguły są **tajne,** chyba że wszyscy godzą się na jawność. Gdy liczba kandydatów odpowiada ściśle ilości miejsc do obsadzenia, przewodniczący może — a nawet powinien — proponować wybór **przez aklamację;** gdy protestuje choćby jedna osoba, należy zarządzić głosowanie.

Wybory mogą być dokonywane, albo zwykłą **większością,** albo **proporcjonalnie.** Przy formowaniu ciał orzekających (Rady Nadzorcze, różne komisje i t. d. — patrz wyżej pod I. pkt. 1.) — zalecane są wybory stosunkowe, gdyż dają one bardziej dokładne odbicie poglądów **ogółu** zebranych, natomiast przy wyborach ciał wykonawczych (zarządy i t. d. — patrz wyżej pod I. pkt. 2.) wskazane są wybory większościowe, gdyż organ powołany do konkretnej pracy musi być zwarty wewnętrznie i zdolny do zgodnych wysiłków.

Mówiąc o większości przy wyborach mamy na myśli oczywiście **większość bezwzględną,** to zn. **więcej niż połowę** głosujących (po odliczeniu białych kartek); a zatem przy 25-ciu głosujących minimum potrzebne do wyboru wynosi 13 głosów, przy 26 — 14, przy 27 — również 14 i t. d. Jeżeli głosy rozbiją się pomiędzy kilku kandydatów, tak że żaden z nich nie uzyska większości absolutnej, wówczas następują **wybory ściślejsze,** przyczem kolejno odpadają kandydaci, którzy uzyskali najmniejszą ilość głosów. Dajmy na to, w I-czem głosowaniu przy 30-tu głosujących A. otrzymał 3 głosy, B — 8, C — 14, D — 5, odpada A.; w II-giem otrzymano wyniki: B — 9, C — 16, D — 5; wybrany został C.

Jeżeli chodzi o wybory stosunkowe, to najbardziej rozpowszechniony i stosunkowo najlepszy jest system **d'Hondta,** którego mechanikę najlepiej zilustrować na przykładzie następującym: ma być wybrana komisja z 7-miu członków; zgłoszone 4-ry listy, głosów, ważnych oddano 100; obliczenie wyników przedstawia się jak niżej:

lista	A.	B.	C.	D.
: 1.	20	40	25	15
: 2.	10	20	12,5	7,5
: 3.	6,(3)	12,(6)	8,(3)	5
: 4.	5	10	6,25	3,75
: 5.	4	8	5	3

rezultat: lista A — 1 mandat, B — 3, C — 2, D — 1.

Tyle narazie, kochany czytelniku, „światłych rad" starego i doświadczonego prezesa. Bardzo rad będą, jeżeli Ci się one przydadzą w praktyce. Na zakończenie jeszcze dwie sprawy. Jeżeli chcesz poznać dokładnie sztukę obradowania, to przeczytaj sobie regulaminy polskich izb parlamentarnych, jak również zapoznaj się z jedyną polską książką na ten temat, a mianowiciez podręcznikiem Lutosławskiego: „Sztuka obradowania". Książka ta wyszła jeszcze przed wojną i zawiera szereg przepisów przestarzałych, które nie wytrzymały próby życia, obok tego wszakże jest w niej sporo myśli bardzo trafnych. Czytając ją pamiętaj zawsze o tem, że nie treść dla formy, ale odwrotnie!!

A teraz czytelniku, kwestja ostatnia. Gdybyś chciał spytać się o jakąś sprawę regulaminową, której sam rozstrzygnąć nie potrafisz, to napisz do mnie bez żadnej żenady za pośrednictwem redakcji „Sternika", a ja ci niezwołcznie odpiszę.

Jurysta

Kronika marcowa

...ale z przed stu lat. Co działo się w owym pamiętnym dla nas roku 1830, a raczej, co interesowało ówczesny przeciętny ogół czytelników warszawskich? — Najlepiej pouczają nas o tem czasopisma. Są one oczywiście wyprane, bardzo starannie przez cenzurę ze wszystkiego, co mogłoby informować o istonym stanie politycznym kraju, przepełnione natomiast sprawozdaniami z uroczystości dworskich w Petersburgu i odpowiednio spreparowanemi wieściami z polityki zagranicznej.

Nurt niepodległościowy, płynący w głębokiem ukryciu poprzez umysły i serca tych, których nie zdołała złamać tyranja moskiewska, nie mógł więc mącić wyraźnie powierzchni prasy przed listopadem 1830 roku. Warowały nad nią pilnie szpicle. W. X. Konstantego.

Kronika nasza jest więc tylko połowem w morzu codzienności, ale codzienności poprzedzające wielkie i niecodzienne chwile listopadowe.

Zaczniemy oczywiście od pogody. Notowały ją już wówczas bardzo starannie „dostrzeżenia meteorologiczne w Warszawie"... Dn. 21 marca, czyli pierwszego dnia kalendarzowej wiosny „stopni ciepła 3,5 R.⁰ barometr cali 27 liniy 7,65, hygrometr 94. Wiatr zachodni, stan nieba pochmurny". Aura więc z przed stu laty nie wiele różniła się od obecnej. Gazety ówczesne notują również i katastrofy powodzi. Nie są one tak straszne, jak dzisiejsze we Francji, ale przecież zarówno Prosna jak i Wilja spłatały niejednego figla. Ucierpiały Kalisz i Wilno, w którem dn. 9 marca o godz. 5-tej „wezbranie doszło niedoświadczoney w najpamiętniejszych wylewach wysokości; rozległość zaś wylewu zaymowała bulwar cały i ulicę Arsenalską".

Kiedy już mowa o zjawiskach przyrody, to nie od rzeczy będzie przypomnieć, że „w Zelwach na Żmudzi wydobyto z krowy, która zdechła nie mogąc się ocielić ciele z dwiema głowami, dwoma ogonami i sześciu nogami, a w poniedziałek 29 marca na targowisku za Żelazną Bramą wieśniak mający na sprzedaż 5 dzikich kaczek, miał między niemi jedną, która miała oba skrzydła zupełnie białe. „Ostatnia notatka jest zaopatrzona następującem wezwaniem: „Kto kupił tego ptaka niech raczy oddać go do gabinetu Historyi naturalney".

Widzimy więc, że i poczciwe targowisko za Żelazną Bramą istniało przed stu laty. Nie było tam coprawda tak wspaniałych hal targowych jak dzisiaj, ale czcigodny Magistrat ogłaszał już i wtedy cenniki obowiązujące. Z nich to wiadomo że: „Najprzedniejszy cukier angielski kosztował 48,15, ordynaryjny 43, lodowaty żółty 44, biały 52 złotych polskich (za „kamień" wagi 24 funtów). Ryż 14,15 za 32 funty, Arak oxeft (54 garncy) 1200, spirytus 1120, równie za oxeft. „Istniała również i giełda warszawska a „Dzienik Powszechny Krajowy" powiada: „Giełda nasza jest powiększey części naśladownictwem berlińskiey. „Gra na giełdzie nie była nowością, tylko, że wielkiem powodzeniem u spekulantów nie cieszyły się bynajmniej „Starachowice", lecz pożyczki neapolitańska, hiszpańska i grecka. Funt angielski notowano 42,7 złp. Wiadomości z giełd zagranicznych dochodziły z „zawrotną" jak na owe czasy szybkością. Przywoziła je poczta konna. Z Wrocławia naprzykład wyjeżdżało się w czwartek o godzinie drugiej pop., a przyjeżdżało się do Warszawy już w sobotę o 9 rano. „Nadzwyczajna, amerykańska" szybkość wynosiła zdaje się w 1830 roku 32 klm. na godzinę (20 mil ang.). Świadczy o tem następująca notatka: „Donoszę z Paryża, że niedawno w Baltimore doświadczono powozu z żaglami na kołach, który ma się toczyć po żelaznym gościńcu. Kilka osób siedziało w tym powozie, a między innemi inżenier prowincyi New-York. Kierowanie żaglem powierzono sternikowi, który miał wiele doświadczenia. Gdy rozpięto żagle, ruszył z nadzwyczajną szybkością, tak że ubiegł 20 mil. ang. na godzinę; kiedy nawet żagle były zwinięte i opuszcone, popęd tak był silny, że ledwie zdołano zatrzymać powóz".

Jeżeli chodzi o „nowinki", to mówi się przedewszystkiem o dramacie „pana Hugo" p. t. „Hernani", którego pierwsze przedstawienie odbyło się dnia 25 lutego. Data ta jest datą narodzin romantyzmu w dziejach współczesnego teatru. Gazety nasze mówią o „Hernanim" w korespondencjach nadesłanych z Paryża: „Wygwizdano w Paryżu drammę pana Hugo, naczelnika wygwizdaney we Francyi szkoły romantycznej. Mimo to sztukę grano dalej a nawet raz przedstawiano ją umyślnie dla uczniów kollegjum Ludwika Wielkiego, którzy byli na niej z nauczycielami". Albo „sześć pierwszych przedstawień tego drammatu pana Viktora Hugo przyniosło teatrowi francuskiemu 24,168 franków".

U nas w Warszawie, natomiast „Teatr Narodowy" wystawił troskliwie operę Rosiniego „Hrabia Ory", lecz nie bardzo się podobała. Już i u nas zaczyna słabnąć zamiłowanie tego kompozytora. Drugiem zdarzeniem artystycznem w marcu był przyjazd do stolicy słynnego wirtuoza Hummel'a, który dał parę koncertów.

Jeszcze jedno na zakończenie naszej kroniki marcowej. Ogłoszono spis urzędowy ludności Królestwa Kongresowego z końca roku 1828, która „prócz woyska polskiego wynosiła 4.088.289. Ludność żydowska 384.268, pomiędzy któremi bez stałego sposobu do życia 93.988. „Warto owe dane porównać z dziesiejszemi.

Codzienne szare życie ma swoje prawa. Ludzie są ludźmi i chcą wiedzieć o najrozmaitszych kwestjach, nie mających często pozornie nic wspólnego z tem „co najważniejsze". Nas, którzy dzięki czynowi legjonowemu jesteśmy jednak ludźmi niepodległej Polski interesuje **wszystko,** co działo się w pamiętnym roku 1830. Wszystkie bowiem najpospolitsze nawet zdarzenia są owiane czarem dziwniejszym od najdziwniejszego egzotyzmu — czarem bohaterskiego sięgania po niepodległość.

Dr. E. Strażyski

Z PRZYRODY i TECHNIKI

GDZIE MIESZKASZ?

Czy zastanowiłeś się kiedy, drogi Przyjacielu, nad tem, gdzie mieszkasz?

Jakie śmieszne pytanie? Odpowiesz mi zapewne: wiem to doskonale! W Warszawie na ulicy tej i tej, numer ten i ten.

A gdzie leży Warszawa?

Oczywiście w Polsce.

A Polska?

W Europie, Mości Panie Niewiedzący!

A Europa?

Naturalnie na Ziemi, chyba nie na Marsie.

A Ziemia?

??? — Uspokoiłby się Pan z głupiemi pytaniami?

Prawda? Głupie pytanie, ale odpowiedź niestety wcale nie łatwa. Przypomina nam się z lekcji geografji lub kosmografji określenie, że Ziemia jest trzecią z rzędu planetą w układzie słonecznym, że krąży dookoła Słońca w odległości średniej 149½ miljonów kilometrów, po torze eliptycznym, posuwając się w ciągu sekundy o blisko 30 kilometrów naprzód. Na tem jednak zazwyczaj kończą się szkolne wiadomości i bliższe określenie położenia naszego układu planetarnego w przestrzeni kosmicznej nastręcza już poważne trudności.

Gdzież więc się znajdujemy?

W jakim kierunku porusza się Słońce i planety, jaki jest cel kosmicznej ich wędrówki?

Hindusi wyobrażali sobie Ziemię, jako tarczę opierającą się na słupach. Gdy pytano na czem opierają się owe słupy, święte Wedy objaśniały, że na ofiarach sprawiedliwych. Inne podanie hinduskie, nieco późniejsze, głosiło, że Ziemię dźwigają cztery słonie, stojące na grzebiecie żółwia. Na czem zaś opiera się żółw? — Na to nie dawała odpowiedzi mądrość hinduska.

Dziś wiemy coprawda, że żadne słupy, ani słonie nie podtrzymują naszej planety, że prawo grawitacji Newtona lepszą jest rękojmią dla trwałości stanów kosmicznych, niż najfantastyczniejsze jakieś podpory. A jednak ów żółw hinduski wciąż jeszcze nas niepokoi. Badaniami naszemi rozszerzyliśmy znacznie widnokręgi kosmiczne: w starożytności znano zaledwie naszą Ziemię, dziś znamy światy gwiezdne oddalone od nas tryljony kilometrów. Do kresów ostatnich jednak dotąd nie dotarliśmy i wątpliwe, czy kiedykolwiek dotrzemy.

Jeszcze Kopernik przypuszczał, że Słońce jest ośrodkiem wszechświata, dalsze jednak badania astronomów wykazały niezbicie, że nawet i Słońce porusza się z zawrotną szybkością blisko 20 kilometrów na sekundę w kierunku gwiazdozbioru Herkulesa. Słońce jest tylko jedną z owych miljonów gwiazd stałych, które obserwujemy przez potężne lunety współczesnych obserwatorjów, i tylko dzięki bliskości Ziemi nasza gwiazda dzienna widoczna jest jako wyraźna tarcza kołowa. Dla mierzenia odległości wzajemnych gwiazd stałych jednostka długości miljona kilometrów już nam nie wystarcza, wobec tego astronomowie umówili się stosować nową miarę długości. Promień świetlny przebywa w każdej sekundzie 300.000 kilometrów, odległość tą nazwano jedną sekundą świetlną, minutą świetlną będzie wobec tego, jak łatwo obliczyć, odległość 18 miljonów kilometrów ,a odległość Słońca od Ziemi wynosi przeszło 8 minut świetlnych.Najdalej od Słońca położona planeta Neptun krąży dookoła naszej gwiazdy dziennej w dystansie 250 minut świetlnych, czyli przeszło 4 godzin świetlnych. Od najbliższych atoli gwiazd stałych dzielą nas już nie dni świetlne, ani miesiące, lecz lata

Słońce wraz z najjaśniejszemi gwiazdami zdobiącemi tło nieba stanowi jedną wspólną grupę gwiazd stałych, grupę, której średnica wynosi kilkaset lat świetlnych. Ta grupa gwiazd należy do wielkiego zbiorowiska Drogi Mlecznej, której rozmiary dotąd jeszcze nie są nam dokładnie znane, w każdym bądź razie wynoszą kilkadziesiąt, a może nawet kilkaset tysięcy lat świetlnych.

Ilość gwiazd stałych w układzie Drogi Mlecznej nie da się dokładnie określić. Astronomowie Seares i Van Rhijn oceniają ją, na podstawie obliczeń statystycznych na około 30 miljardów! Przypuszczać należy, że dookoła każdej z tych gwiazd stałych krążą liczne planety, tak, jak dookoła naszego Słońca. Nie należy również uważać, że Słońce, czyli nasza gwiazda dzienna wyróżnia się wśród powodzi gwiazd swą masą. Wręcz przeciwnie Słońce należy do tak zwanych karłów-gwiazd stałych, mimo, że masa jego równa jest masie 333.432 mas Ziemi. Astronomowie znają gwiazdy

stałe, których masy więcej niż 50 razy przewyższają masę Słońca. Również objętościami prześcigają gwiazdy często naszą gwiazdę dzienną. Niektóre zajmują przestrzeń miljony razy większą, aniżeli królowa naszego układu planetarnego.

Czy jednak wszechświat kończy się na granicach Drogi Mlecznej?

Są w przestrzeni grupy gwiazd, które niewątpliwie leżą poza obrębem naszej wyspy gwiezdnej. W bezchmurną i bezksiężycową noc, kiedy tło nieba iskrzy się gwiezdnym pyłem nieuzbrojonym nawet wzrokiem zaobserwować możemy w konstelacji Andromedy niewyraźną, kosmiczną mgławicę. Badania widmowe wykazały, że mgławica ta składa się z olbrzymiej ilości oddzielnych gwiazd tworzących osobny układ „Drogi Mlecznej". Odległość tej sąsiedniej „Drogi Mlecznej" wynosi około 1.500.000 lat świetlnych!! Prócz wyspy gwiezdnej w Andromedzie znają astronomowie inne jeszcze grupy gwiazd stałych, grupy nienależące do naszej Drogi Mlecznej, a oddalone od nas setki ,tysięcy a nawet miljony lat świetlnych.

W miarę powiększania się siły rozpoznawczej naszych przyrządów astronomicznych horyzonty gwiezdne prawdopodobnie również się powiększą, a jednak mimo to trudno przewidzieć, czy dotrzemy kiedyś do jakiegoś kresu. Zagadnienie to wiąże się już z problemem, czy wszechświat jest skończony, czy nieskończony? O tem jednak opowiemy kiedyindziej.

dr. F. Burdecki

„Naokoło świata w ciągu 44 dni"

Taki tytuł nosi dziennik podróży 15-letniego harcerza duńskiego Palle Huld. — Dziennik ten ukazał się najpierw w języku ojczystym autora, następnie w szwedzkim, a mniej więcej od półtora roku coraz to więcej różnojęzycznych tłomaczeń pojawia się na rynku księgarskim. Palle Huld, to nie pisarz zawodowy, a młody, pogodny chłopiec, umiejący z całego serca radować się życiem. I dlatego właśnie dziennik jego ujmuje i zajmuje czytelnika. Zasadniczą nutą tej nikłej książeczki jest prostota, bezpośredniość i dobry humor. Tej bezpośredniości nie zdoła zatrzeć rzucająca się miejscami w oczy korekta wydawców.

Historja podróży Pale Huld przedstawia się mniej więcej następująco...

Wielka gazeta duńska **„Politiken"**, wychodząca w Kopenhadze, postanowiła wysłać w podróż dookoła świata piętnastoletniego chłopca. Palle Huld, na którego padł wybór (a zgłosiło się kilka tysięcy chłopców z całej Danji), ukończył był niedawno szkołę powszechną i praktykował jako uczeń w dużej firmie automobilowej, nie przestając nadal brać udziału w harcerstwie.

Powodem, dla którego „Politiken" postanowiła urządzić taką bądź co bądź kosztowną wycieczkę była stuletnia rocznica urodzin Juljusza Verne'go (nawiasem mówiąc Polaka z pochodzenia), który zmusił Phileas'a Fogg'a — oczywiście w jednej ze swych powieści — do odbycia podróży naokoło ziemi w ciągu 80 dni. W istocie zaś chciano dowieść wbrew rozpowszechnionym po wojnie opinjom, iż podróż dookoła ziemi nie jest znów czemś tak bardzo nadzwyczajnem. „Politiken" wychodziło z zupełnie zresztą słusznego, jak to to praktyka wykazała założenia, iż podróż tę może odbyć spokojnie nawet 15 letni chłopiec, o ile ma tylko paszport w porządku i dostateczną ilość pieniędzy. Chciano się również przekonać, ile czasu może zająć „dzisiaj" opisana przez Verne'a podróż i dlatego dozwolono Palle posługiwać się jedynie temi środkami lokomocji, które istniały za czasów fantastycznego Philes'a Fogg. Głównem zadaniem młodocianego podróżnika było skupienie całej uwagi oraz wszystkich sił **przedewszystkiem** na tem, aby ową podróż odbyć **jaknajprędzej.** Dano mu więc 50 dni czasu, dzielny harcerz jednak dokonał tego wyczynu w ciągu 44 dni. Inicjatorom podróży nie chodziło bynajmniej o to, aby Palle przeżywał jakieś dzikie sensacje — wprost przeciwnie.

Plan swej podróży opracował Palle sam... Kopenhaga — Londyn — Glasgow — Saint John — Montreal — Winnipeg — Vancouver — Jokohama, skąd prze Koreę, Mandżurję, Rosję, Polskę i Niemcy spowrotem do Kopenhagi. W Kopenhadze przyjmowało go po powrocie 30.000 ludzi i naraz stał się sławnym.

Podróż odbywała się błyskawicznie, o czem niejednokrotnie wspomina z żalem nasz młody podróżnik. Jednakże pomimo, iż w wielu miejscach spędził tylko parę godzin, umiał z nich skorzystać inteligentnie. Największe wrażenie wywarła na nim przejażdżka przez terytorjum Indjan w Kanadzie oraz pobyt w Japonji, tej zaczarowanej krainie kwiatów i życzliwie uśmiechniętych ludzi. Harcerstwo przyjmowało go wszędzie entuzjastycznie, z wyjątkiem Moskwy, gdzie był jedynie gościem konsulatu duńskiego. I w Polsce witano go jaknajmilej. Oto wyjątek z dziennika Palle Huld, w którym mówi o naszym kraju...

„— Przybyliśmy do Polski. Rewizja rozpoczęła się na nowo i była tym razem jeszcze ostrzejsza (niż przed chwilą na komorze sowieckiej). Bano się widocznie, abyśmy nie przewieźli z czerwonej Rosji jakiegoś djabelstwa. Bardzo dokładnie przejrzano mój neseser toaletowy, zawierający metalowe pudełka i flaseczki. Urzędnicy obmacywali te przedmioty, jakby się obawiając, że są to ręczne granaty lub jakieś piekielne maszyny. Kazano mi własnoręcznie otwierać wszystkie flaszki i pudełka, a celnicy mieli nieco zdziwione miny, widząc, że zawierają tylko szczoteczkę, gąbkę, mydła i proszek do zębów. Jeden z nich, bardzo wesoły facet, rzekł mi później po niemiecku, że trzeba się było zająć mną specjalnie, ponieważ kolor mych wołsów zbyt silnie agituje na rzecz czerwonej Rosji.

„Po skończonej rewizji wsiedliśmy do polskiego pociągu. Były tam eleganckie wagony sypialne „Towarzystwa Międzynarodowego", idące do samego Berlina.

„Ta część Polski, przez którą przejeżdżaliśmy obecnie, jest pokryta bagnami, gęstemi zaroślami, wielkiemi lasami i mnóstwem niewielkich strumieni. Co za cudowny teren dla manewrów harcerskich!

Wielu Polaków nosi na bakier wielkie, zielone czapki sportowe z olbrzymiemi daszkami. Żołnierze zaś w swoich nowych, zielonkawych mundurach wyglądają bardzo chwacko.

„To dziwne, że każdy prawie naród ma swoją barwę, w której się szczególnie lubuje. Koreańczycy białą, Chińczycy niebieską, Rosjanie czerwoną, Polacy zieloną, a Japończycy wszystkie kolory razem pomieszane.

„Około 6-tej i pół przybyliśmy do stolicy Polski, Warszawy. Zarówno kolonja duńska, jak i polscy harcerze zgotowali mi nadzwyczajnie serdeczne przyjęcie. Harcerze zaprosili mnie na uroczysty bankiet, podczas którego wręczyli mi swą odznakę honorową. Miałem jeszcze dość czasu, aby obejrzeć sobie miasto, wyzyskałem więc dobrze te dwie godziny, które mi pozostały do odejścia pociągu. Harcerze polscy byli bardzo gościnni i uprzejmi. Nie rozumieliśmy ani jednej sylaby z tego, cośmy sobie nawzajem opowiadali, a jednak bawiliśmy się doskonale".

Na tem kończy się ustęp z dzinika Palle Huld, opowiadający o Polsce. Z Danji musiał Palle raz jeszcze wyjechać, a mianowicie do Francji. W Amiens odbyły się wielkie uroczystości harcerskie i młody Duńczyk złożył u stóp pomnika Jules Verne'a piękny bukiet z czerwonych i białych róż, ozdobionych wstęgami tego samego koloru, na których widniał napis: „Juljuszowi Verne od największego wielbiciela, duńskiego chłopca Palle".

Pamiętnik Palle Huld — typową harcerską opowieść z tysiąca i jednej nocy (trwającej coprawda tylko 44 dni), wartoby przełożyć na nasz język. Napisał ją szczerze dobry, inteligentny chłopiec, który dotychczas nigdy nie wyjeżdżał poza granice swej niewielkiej ojczyzny.

Dr. E. Strążyski

Ze świata książek

Emil Zegadłowicz: Z pod młyńskich kamieni.

Książka ta jest drugą częścią cyklu pod tytułem: „Żywot Mikołaja Srebrempisanego", i ukazuje nam życie Mikołaja, małego sześcioletniego chłopca. Zadziwiająca poprostu jest subtelność z jaką autor potrafił odmalować przeżycia swego młodocianego bohatera.

Świat drobnych, codziennych zdarzeń z życia dziecka, wyolbrzymiony do rozmiarów w jakich ukazywały się one Mikołajowi rozsnuwa przed czytelnikiem wizje jego własnych przeżyć z odległego dzieciństwa i pozwala mu spojrzeć na nie z nowego punktu widzenia. Pierwszy to może raz pod wpływem tej książki zastanawiamy się gruntownie nad psychologją dziecka, aby zauważyć ze zdumieniem, że ten mały człowieczek żyje w świecie wydarzeń równie skomplikowanych, jak i życie ludzi dorosłych. Że ma swoje „wielkie" zmartwienia i radości, „godziny przylaszczki" na „kwiatowych zegarach" i serdecznych przyjaciół „błędników".

Rozmiłowany w swych rodzinnych Beskidach autor i tym razem akcję swej powieści w beskidzkim umiejscowił zakątku ukazując czytelnikom od czasu do czasu beskidskich ludzi i ich obyczaje. Jednak, ponieważ jest to powieść psychologiczna Beskidy stanowią tu tylko tło, na którem rozgrywa się akcja.

Akcja ta jest dla nas tem ciekawsza, że jest to niemal jedyna w swoim rodzaju powieść. Może pierwsze części „Jana Krzysztofa" Romain Rolland'a mogłyby być porównywane z „Żywotem Mikołaja", ale i wtedy drobiazgowa analiza przeżyć dziecka u Zegadłowicza otrzymałaby pierwsze miejsce przed Rolland'em, u którego są one jedynie wstępem do późniejszego życia Jana Krzysztofa.

Oprócz wymienionych już cech posiada cały cykl o Mikołaju jedną jeszcze specyficzną cechę. Jest nią pozorny brak treści i akcji. Z małemi wyjątkami w całych rozdziałach nic się nie dzieje, a częstokroć nawet treść jest niemal nieuchwytna. Ta odrębna i oryginalna technika pisania daje czytelnikowi złudzenie nierealności graniczącej z marzeniem. Stawia książkę Zegadłowicza na pograniczu, gdzie kończy się już właściwa twórczość powieściowa, a zaczyna się nierealne królestwo legend i baśni, mimo, iż treść jej stanowi realne życie Mikołaja.

Rudyard Kipling: Kim.

Kim jest to opowieść o chłopcu tegoż imienia, Synu metyski i sierżanta wojsko angielskich stacjonowanych w Indjach. Straciwszy bardzo wcześnie ojca i matkę mały Kim wychowywał się pod opieką nałogowo palącej opium przekupki, wskutek czego całe dnie spędzał na ulicach miasta i znany był w całem Lahore jako „Mały Przyjaciel całego Świata".

Dzieje jego pełne są niezwykłych przygód i wydarzeń. Czy to kiedy wędruje z „Lamą Teshoo" poszukującym „Rzeki Strzały", aby przez obmycie się w niej uwolnić się od „Błędnego Koła Wszechrzeczy" czy, kiedy przez zamiłowanie do „gry dla samej gry" dostaje się do wywiadu angielskiego.

Zwłaszcza może te ostatnie przygody odsłaniające dokładnie czytelnikowi zakonspirowaną akcję, którą prowadzi tak energicznie w Indjach pułkownik Creighton (postać ściśle wzorowana na odgrywającym do dziś jeszcze wielką rolę pułkowniku Dawidzie Herbercie Lawrance'ie — w zesłym roku pełnił poufną służbę w Afganistanie), oraz związane z tym okresem życia Kima niezwykłe przejścia stanowią wielką wartość powieści.

Już sam egzotyzm powieści — któż z nas nie ulegnie czarowi tajemniczych Indji — jest wybornem tłem, na którem wyobraźnia czytelnika może sobie wyprawiać dowolne harce, a kiedy jeszcze dodać do tego barwną i ciekawą fabułę, która czyni z książek Kiplinga lekturę nietylko zajmującą, ale wprost porywającą czytelnika, to otrzymamy wizerunek Kima.

Z ogromną przyjemnością wędruje się więc z małym awanturnikiem. Ogląda życie dalekich i niezwykłych ludzi, jakiemi bez wątpienia są Indusi, oraz zakulisowe machinacje białych, którzy przecież przywiązują tak ogromną wagę do utrzymania w sych rękach kraju, w którym panuje nieodgadniony tajemniczy Budha.

Mik.

Na przełomie dwóch sezonów

Chwilę bieżącą cechuje, jeśli idzie o wydarzenia sportowe, współwystępowanie imprez i zawodów zarówno sportów zimowych jak i letnich...

Pochowali już ostre łyżwy hokeiści i łyżwiarze, jedynie narciarze chciwie wykorzystują obficie uśnieżony koniec sezonu, szkoda, że tylko w okolicach podgróskich.

Narciarstwo.

W uzupełnieniu wiadomości o startach Polaków w tegorocznych mistrzowstwach Europy w Norwegji podajemy, że:

1) W biegu złożonym doskonałe miejsce 28 zajął Bronek Czech, jako 3 z pośród zawodników Środkowej Europy. Oczywiście pierwsza dziesiątka, to Norwegowie, druga to Szwedzi i Finnowie.

2) W 50 klm. „maratonie narciarskim", który zakończył Igrzyska, zwyciężył Szwed — Uterström, przed Norwegiem i dwoma Finnami. Jest to jedyna konkurencja, w której Norwegowie oddali czołowe miejsca innym Skandynawom.

Z narciarzy Środkowej Europy na 40 miejscu przyszedł Nemecky (Czechosłoww.), z Polaków najlepszy znów Czech Bronek (53).

Tegoroczne igrzyska, jak żadne z dotychczasowych wykazały ogromną przewagę nart — Norwegji. Setki zawodników, do 75.000 widzów, pierwsze dziesiątki zajmowanych, czołowych miejsc, tysiące młodych, świetnych narciarzy — stwierdzają, że hegemonja Norwegji w narciarstwie trwać będzie długie jeszcze lata.

Konkursy skoków urządzone w Zakopanem i Nowym Targu potwierdziły obniżenie klasy naszych skoczków. Oba konkursy wygrał Burkert z H. D. W. przed Czechem Br. i Gutem (nowa Gwiazda).

Boks.

Sezon bokserki wszedł w fazę mistrzostw okręgowych, które gromadzą eetki zawodników, kończą się jednak zazwyczaj zwycięstwami starych mistrzów.

Gry sportowe.

W grach sportowych godne zanotowania spotkania to: 1) Kobiece zawody międzymiastowe w koszykówce Warszawa — Łódź 15 : 14.

Turniej gier w Krakowie, w którym wzięły udział drużyny łódzkie, przegrywając wszystkie spotkania.

3) W Wilnie, Lwowie, Łodzi, Warszawie, Krakowie i Poznaniu rozegrano cały szereg meczów towarzyskich, turniejowych i eliminacyjnych.

Lekka atletyka.

Lekka atletyka kończy okres zaprawy zimowej zawodami w halach (Kraków i Poznań), przyczem niektóre wyniki zapowiadają wiele niespodzianek. Tak np. w Poznaniu w skoku o tyczce Adamczak osiąga 350 cm, przed Zakrzewskim 340 cm, w skoku w dal doskonały piłkarz Balcer uzyskuje 654 cm, a Stamirski 652 cm.

Finał występów Petkiewicza w Ameryce przerwany został dyskwalifikacją nałożoną nań przez Międzynarodową Federacpę lekkoatletyczną! Petkiewicz wraca do kraju. Czy dyskwalifikacja wynikła z intryg Łotwy w barwach której Petkiewicz dawniej występował; czy też z inego powodu, niewiadomo.

Piłka nożna.

„Piłkonodzy" ocknęli się ze snu zimowego i rozpoczęli sezon spotkaniami zarówno krajowemi, jak i międzynarodemi.

Garbarnia — Żidenice 3 : 2, Legja — Chemmnitzer S. C. 0 : 1, Legja — Braudenburg 1 : 0.

Z krajowych spotkań posmak sensacji mają zwycięstwa zredukowanych zespołów ligowych, nad szczęśliwszymi rywalami.

I K. S. (Katowice) — Pogoń (Lwów) 3 : 2, Turyści (Łódź) — Polonia (W-wa) 3 : 2.

Lotnictwo.

Polskie lotnictwo sportowe poniosło pierwszą bolesną stratę. Akademik pilot ś. p. Karol Trzetrzewiński, jadąc z dziennikarzem ś. p. F. Makowskim wpadł dzięki defektowi motoru w korkociąg na wysokości 80 mtr., gubiąc pod aparatem swą orlą młodość i pociągając za sobą w ciszę śmierci swego towarzysza jazdy.

Humor

— Panie — woła rozzłoszczony zawiadowca do kasjera — dlaczego pan nie sprzedaje biletów, pociąg już nadchodzi.

— Wiem panie zawiadowco, ale pociąg jest przepełniony, zaledwie kilka wolnych miejsc, a pasażerów dużo, więc postanowiłem wprowadzić losowanie biletów.

* * *

— Jestem tu już od godziny — zwraca się gniewnie jakiś interesant na poczcie do czytającego urzędnika.

— To drobnostka, panie, ja jestem tu już 15 lat i nie narzekam.

* * *

— Czem będziesz, gdy dorośniesz? — zapytano małego Janka.

— Żołnierzem!

— A nie boisz się, że cię nieprzyjaciel zabije?

— Nie, bo ja właśnie zostanę nieprzyjacielem!

* * *

— Bój się Boga chłopcze! Masz 15 lat i palisz papierosy! Co będziesz robił, jak będziesz starszy?

— Będę palił cygara.

* * *

— Nie dziwię się, że Anglicy są tacy chudzi. Ja w czasie pierwszego dnia pobytu w Anglji straciłem blisko 4 funty.

— Czy to możliwe?

— Nawet pewne, cztery funty szterlingi.

KOLUMNA MŁODYCH PIÓR

CISZA

Pamięci Mistrza Śliwińskiego

Cisza... i nic już nie drga, nic się nie kołysze,
Jak łódź na niezmierzonym obszarze tęsknoty...
Akord bólu się wkrada w mglistą, wielką ciszę,
Jak duch na odpoczynek do lodowej groty...

Cisza... umilkły struny, stargane z rozpaczy,
W całunie białych kwiatów wieko się ugina,
Kwiatami smutny orszak świeże ślady znaczy...
A drzewa szumią wkoło swe Salve Regina...

Cisza... i nigdy więcej marmurowe dłonie
Nie dotkną strun starganych z za lodowej groty,
Ból się rozwija w duszy... jak pochodnia płonie...
A drzewa szumią wkoło swój nokturn... Tęsknoty...

Te-Jot

Humanitaryzm a ekspansja narodowa

Zagadnienie ekspansji narodowej, które ostatnio stało się przedmiotem dyskusji na łamach „Sternika", jest zagadnieniem ogólnoludzkiem i niedługo stanie się zapewne osią polityki międzynarodowej, aczkolwiek i dotąd zagadnienie to zaliczać należy do najważniejszych problemów międzynarodowych.

Istnieją narody, które rozwijają się liczebnie i jakościowo tak dalece, że nastaje czas, w którym całe społeczeństwo nie jest zdolne utrzymać się na obszarze danej organizacji państwowej. Bywają chwile, że w społeczeństwie nagromadzają się siły ekspansywne, które ostatecznie znajdują ujście w emigracji i kolonizacji nowych terenów.

Ekspansja jest więc wykwitem rozwojowej mocy narodu i dlatego z życia usunąć się nie da, przynajmniej w najbliższej przyszłości, mimo wszelkich potępień ze strony ideologji komunistycznej. Komunizm i socjalizm traktują ekspansję narodową jako imperjalizm kapitalistyczny, jako działanie, podyktowane przez kapitał dla celów gospodarczych. I dlatego komuniści zwalczają ekspansję zarówno kulturalną jak i gospodarczą, nie mówiąc już o pionierskiej ekspansji kolonjalnej.

Ale mowa tu nie o ekspansji konkwistadorów, którą podciągnąć można pod rubrykę imperjalizmu. Chodzi tu o ekspansję jako o konieczność narodową. W takiej chwili znajdują się dziś Niemcy i Italja, w takiem położeniu znajdzie się niezadługo Polska. Powstrzymać ekspansji wprost niepodobna i środki, zapomocą których możnaby było ten cel osiągnąć, byłyby zanadto drakońskie. Należałoby bowiem tępić nadmiar ludzi, a z drugiej strony zahamować przyrost naturalny ludności.

Nadchodzi oto chwila, że siły ekspansywne narodu napotykają na opór ze strony autochtonów. Spotkanie takie nosi zazwyczaj wszelkie cechy wojny. Niżsi kulturalnie tubylcy przegrywają i niejednokrotnie w tej walce giną.

Obecnie jednak sytuacja ta uległa kolosalnej przemianie.

Doktryny humanitarne przyznały wszystkim razem prawo współobywatelstwa. W kolonjach wre praca — ale na zasadzie względnego przynajmnie człowieczeństwa autochtonów. Dzięki temu zmieniły się również i metody ekspansji i kolonizacji. Czynnikami współczesnej ekspansji stała się kultura wraz z siłami i zasobami gospodarczemi danej organizacji państwowej. Czynnik militarny, aczkolwiek dotąd istnieje bezwątpienia, utracił wiele ze swego pierwotnego znaczenia. W tych bowiem kolonjach, które są zamieszkane przez wyższe umysłowo i skonsolidowane politycznie narodowości, siła militarna nie zapewni na dłuższą metę panowania przybyszów. Terenami, które przedstawiają dla ekspansji istotną wartość, są tereny rzadko zaludnione i to przez ludność nie kulturalną. Na czem polega cel takiej kolonizacji? Czy na „zlikwidowaniu" ludności tubylczej? Przedewszystkiem ludność tubylczą należy otoczyć staranną opieką i dać jej możność rozwoju kulturalnego oraz w miarę możności przyznać jej autonomję w ramach ogólnopaństwowych. Kraj kolonjalny ma być dla emigrantów ojczyzną, gdzie mają oni znaleźć możliwość życia, nie zatracając jednocześnie łączności z narodem macierzystym.

Polacy wyszli na szlaki świata i szukają nowych warunków życiowych; ale w tułaczce tej rozproszyli się emigranci i potrzeba im tej spójni duchowej, która mogłaby skoordynować ich wysiłki zamienić w pracę celową.

Do tej celowej pracy potrzeba woli i hartu granitowego, trzeba silnego typu człowieka, obdarzonego z drugiej strony dużą subtelnością uczuć.

Wystąpienie p. Kamińskiej podyktowane było nie przez „kobiecy sentyment", a raczej przez szlachetne pobudki, oparte jednakowoż na błędnych nieco przesłankach. Rację ma p. Kiewlicz, pisząc o ciężkiej życiowej walce o byt, w której łatwo zapomina się o szlachetnych uczuciach.

P. Kiewlicz sądzi, że należy uznać taki porządek rzeczy. Może w przyszości nastąpi samorodna zmiana na lepsze; narazie człowiek ma być człowiekowi zwierzem, bo wszyscy tak robią. Rzeczywiście, o tem zapominać nie wolno. Świat należy do silnych — i my się do tego stosować narazie musimy. Ale w rzeczywistości rzeczywistej świat powinien być rządzony przez sprawiedliwość. Od początków cywilizacji świat do tego celu zmierza — i nie należy teraz czekać na przemianę od nas niezależną, a trzeba tę przemianę kształtować własnemi rękami. Nowy ustrój społeczny, oparty na zasadach demokracji musimy stworzyć z hasłami miłości, równości, wolności i sprawiedliwości na sztandarach. Czyż to nie piękne zadanie wszystkich pokoleń przyszłości? Już dziś przeżyła się Nietsche'go teorja nadludzi, już dziś prawo Darwina o doborze naturalnym uzupełnia się ideą sprawiedliwości.

Siła sprawiedliwa!

Jeżeli dziś nie wygramy nic szlachetnemi hasłami — to prawda — to jednak niewolno nam tych haseł unicestwiać. Musimy je nieść w życie z wiarą, że to nie utopja, tylko cel do osiągnięcia. Bo muszą wreszcie nadejść czasy, których dewizą będzie: — Sprawiedliwość, nie przemoc. A wtedy zagadnienie ekspansji narodowej zejdzie do rzędu zagadnień podrzędnych, bo przecież wszyscy wtedy widzieć będą w sobie jedną rodzinę.

Włodzimierz Pietrzak

ODPOWIEDZI DZIAŁU LITERACKIEGO

P. St. Andrzejczyk, Biała Podlaska.

Bardzo Panu jesteśmy wdzięczni za słowa uznania i za propagandę „Sternika" wśród kolegów.

Prace nadsyłane do „Kolumny Młodych Piór" zamieszczamy zawsze chętnie, o ile tylko odpowiadają pewnemu poziomowi ogólnemu. Nie da się to, niestety, powiedzieć o Pańskim wierszu, który jest równie banalny, jak źle napisany. Tego rodzaju wezwań „Do pracy" znamy już bardzo wiele i moglibyśmy nawet ułożyć odpowiedni słownik z wyrazów używanych w tych utworach. Zawsze musi być „cnoty gmach", „nowe tory", „praca wzbogaca". Nie, Panie, to jest za łatwe, aby mogło być dobre.

Możeby Pan spróbował pisać prozą?

W. G. S., Warszawa.

Ostatni utwór Pański („O wschodzie słońca") był dla nas miłą niespodzianką. Cieszymy się, że zmienił Pan temat — stosownie do naszej rady. Im prostsze zdarzenie, im prościej opisane —tem lepsze będą rezultaty.

W opowiadaniu swojem dość bezceremonjalnie potraktował Pan majaczenia chorego; Pański Mirek mówi jak zupełnie przytomny człowiek mający przeczucie śmierci, Pan zaś traktuje go jak nieprzytomnego.

Nie wiemy o ile opowiadanie zaczerpnięte jest z życia i nie chcemy bynajmniej obrażać Pańskich uczuć, ale musimy stwierdzić, że w paru miejscach stworzył Pan, zamiast tragicznych , efekty śmieszne. Np. umierający zadaje — jedno po drugiem— takie pytania:

A pamiętasz ojca naszego? (który umarł i przed śmiercią „znosił straszne męczarnie")

Pamiętasz ty pogrzeb naszej ciotki?

To bliskie sąsiedztwo dwu smutnych pytań nie wpływa na podniesienie powagi utworu, który jest pozatem za długi.

Niech się Pan streszcza i mniej pisze. Sądząc z tej ostatniej rzeczy, jest Pan na dobrej drodze.

Dział rozrywek umysłowych

KONKURS DLA ZNAWCÓW POEZJI.

Poniżej podajemy wyjątki z dzieł znanych poetów polskich. Rozwiązanie zawierać powinno nazwisko autora i tytuł dzieła, z którego każdy z urywków tych pochodzi.

I wydarto go z ziemi — popiołem,
I wydarto go wierzbie płaczącej,
Gdzie sam leżał — ze sławy aniołem,
Gdzie był sam — nie w purpurze błyszczącej,
Ale płaszczem żołnierskim spowity,
A na mieczu, jak krzyżu rozbity.

* * *

Słońce! Słońce! Słońce! Słońce!
Wszystko lśni się, świeci, pała,
Złote iskry skaczą z morza,
Złotem błyska mewa biała.

* * *

Z Ojców mych ziemi przez wroga wygnany,
Deptać musiałem obcych ludzi łany,
I słyszeć zdala tych szatanów wycia,
Co ziemię moją okuli w kajdany;
Jak Dant — przez piekło — przeszedłem za życia!

* * *

Żyłem z wami — cierpiałem i płakałem z wami;
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny.
Dziś was rzucam i dalej idę w cień — z duchami —
A jak gdyby tu szczęście było— idę smętny.

* * *

Pośród tatarskiej bitwy znaleziony
Dziwnym trafunkiem przed dawnemi laty,
Stał obraz święty w framudze złoconej,
W rogu sypialnej komnaty.

SZARADA

„W amerykańskiem gimnazjum"

Napisał Wacław Śledziński

Największą uczelnią średnią w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej jest Pierwsze Gimnazjum Męskie w Chicago, do którego uczęszcza kilka tysięcy uczni. Powszechną sympatją nietylko kolegów, ale i profesorów cieszy się uczeń 6 klasy tego gimnazjum, niejaki Hubert Smith, będący od najmłodszych lat prymusem. Jego **druga — piąta** zawsze wypchana była książkami i zeszytami. Jednak pewnego dnia Smith przyszedł do gimnazjum nie zaopatrzywszy się w potrzebne zeszyty do lekcji, która się zwie **cała**. Profesor, dowiedziawszy się o tem, przywołał go do siebie i rzekł: „Słuchaj Smith, **czwarte** wiesz, że teraz jest **cała**, a nie masz zeszytów! Daję Ci więc 20 centów, idź i kup je! To mówiąc, podał chłopcu monetę. Smith nie przyjął pieniędzy, twierdząc, iż nie pozwala mu na to **pół drugiego — czwarta — piąta** ucznia i poprosił o pozwolenie pójścia do domu po 20 centów, które mu da **pierwsze — pół drugiego — piąte**. Profesor zgodził się na to a Smith wybiegł z klasy.

Trzecia — trzecia dała mu pieniądze i chłopak po kilku minutach wrócił z zeszytami do gimnazjum. **Cała** niedługo się skończyła, a potem nastąpiła lekcja języka angielskiego, za wypracowania, z którego na różne **drugie — trzecie** — czwarte otrzymywał zawsze stopnie celujące.

Smith pochodził z rodziny niezamożnej, a więc jego postępy w nauce tembardziej zadziwiały nietylko kolegów i profesorów, ale nawet inspektora szkolnego, który, będąc pewnego razu w szkole wezwał chłopca do siebie. Po szczegółowem przepytaniu ucznia inspektor zainteresował się, co stanowi ulubiony przedmiot Smith'a i czem ma zamiar w przyszłości zostać. Jednocześnie ofiarował mu swą pomoc i opiekę. „Czem mam zamiar być odparł Smith, jeszczes nie wiem; ulubionym mym przedmiotem jest **pierwsze — drugie — trzecie — czwarte — piąte**".

LOGOGRYF

(podał Fr. Chylak)

1. x x x x x x x x
2. x x x x x x x
3. x x x x x x
4. x x x x x
5. x x x x x x
6. x x x x x x x
7. x x x x x x x x

Pierwsze litery wyrazów, czytane z góry na dół, dadzą nazwę pewnego pisma.

Znaczenie wyrazów: 1. Zwierzę stawonogie, 2. pisarz rosyjski, 3. wyższy urzędnik w starożytnych Atenach, 4. rasa koni rosyjskich, 5. metal, 6. uczony-badacz Indyj, 7. instrument muzyczny.

W rozwiązaniu podać należy wszystkie wyrazy pomocnicze.

Termin nadsyłania rozwiązań z bieżącego numeru upływa 15 kwietnia.

Na kopercie obok adresu dopisywać należy „Rozrywki umysłowe".

Na nagrodę za rozwiązanie powyższych zadań przeznacza Redakcja „Białą Różę" Narcyzy Żmichowskiej. Nagroda będzie rozlosowana między nadsyłających odpowiedzi.

Do działu rozrywek umysłowych w zeszycie poprzednim wkradł się błąd: do ostatniego zdania w drugim wierszu drugiej szpalty dopisać należy słowo „wspak". Wobec tego termin nadsyłania rozwiązań z numeru 5 przedłuża się do 15 kwietnia.

RFOZWIĄZANIE ZADAŃ Z NUMERU 4.

Składanka krzyżykowa

1. „Popioły"
2. zielony
3. kłonica

Rebus

Matematyk.

LOGOGRYF

Kosa i **K** amień
Metam **o** rfozy
Sem **m** ko
Jas **e** łka
Syn Jaz **d** ona
Ba **j** buza
Zag **a** dki
Infa **n** tka
Królews **c** y synowie
Dziec **i** wieku

Z pośród rozwiązań zadań z numeru 4 r. b. wylosowano do nagrody rozwiązanie p. J. Szewczyka z Solca nad Wisłą. W nagrodę otrzymuje „Kalendarz Iskier".

„STERNIK" WYCHODZI 10-go I 25-go KAŻDEGO MIESIĄCA.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Al. Ujazdowskie 37 m. 23, Tel. 445-16, Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów we wtorki i piątki od 5—6 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł. 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł., 1/8 kol. — 35 zł. 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski. Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.

Warszawskie Zjednoczone Zakłady Graficzne „SPÓŁDRUK", Warszawa, ul. Długa Nr. 26. Telefon Nr. 260-19.